NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. - Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Roczuie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. | **Kraków, 5 sierpnia 1916.** | **Nr. 32.**

Z walk Legionów.



Obserwowanie nieprzyjaciela z okopów drugiego batalionu piątego pułku.



Druga baterya artyleryi na pozycyi. (Fot. T. Zwoliński)

Treść numeru: Reaktywowanie Rady miasta Krakowa. — Na wschodnim froncie — Nowe odznaki w Legionach. — Szczęśliwe spotkanie. — Nowy wiceprezydent Rady szkolnej. — Z polskich pobojowisk. — Bolesna strata i t. d.

Reaktywowanie Rady miasta Krakowa.

W życiu autonomicznem Wielkiego Krakowa zaszedł pomyślny zwrot. Zawieszona w swych czynnościach z wybuchem wojny Rada miejska została reaktywowaną z pełnią praw, jakie jej przysługiwały na zasadzie statutu miejskiego. Wprawdzie reaktywowanie Rady miejskiej — wobec fungowania władzy komisarza fortecznego, mającego najwyższą pod każdym względem decyzyę — jest



Reaktywowanie Rady miasta Krakowa: Ustępujący wiceprezydent profesor dr. Julian Nowak.

właściwie tylko rozszerzeniem dotychczasowej Rady przybocznej zarządu miasta i komisarza fortecznego — jednakże powołanie do wpływu na gospodarkę miejską szerokiego grona wybranych przez ludność radców należy niewątpliwie uważać jako przywrócenie życia autonomicznego w Krakowie.

Wraz z reaktywowaniem Rady miejskiej ustępują dotychczasowi wiceprezydenci miasta dr. Nowak i Zoll (przedtem dr. Kostanecki), którzy weszli w czasie wojny w skład prezydyum miasta po rozwiązaniu Rady miejskiej w charakterze zastępców komisarza rządowego dra Juliusza Leo. Dr. Nowak obejmuje kierownictwo działu rolniczego w Centrali dla odbudowy kraju, dr. Zoll zaś wiceprezydenturę Rady szkolnej krajowej.

Pierwsze posiedzenie reaktywowanej Rady miasta Krakowa odbyło się w nastroju bardzo uroczystym. Galerya dla publiczności była wypełnioną do ostatniego miejsca. W loży dziennikarskiej zajęli miejsca reprezentanci miejscowych dzienników.



Reaktywowanie Rady miasta Krakowa: Pierwszy wiceprezydent poseł Jan Kanty Federowicz.



Reaktywowanie Rady miasta Krakowa: Prezydent dr. Juliusz Leo

O godzinie w pół do szóstej po południu otworzył posiedzenie prezydent miasta ekscellencya dr. J. Leo, wskazując w swem zagajeniu na radosną chwilę z powodu przywrócenia życia autonomicznego w Krakowie. Następnie w myśl przepisów statutu zaprosił szesnastu radców miejskich, reprezentujących dzielnicę Podgórze, do złożenia przyrzeczenia radzieckiego.

W dalszym ciągu posiedzenia zabrał głos prezydent miasta ekscellencya dr. J. Leo i odczytał dwa telegramy z życzeniami z powodu reaktywowania Rady miasta, jeden od prezesa Koła polskiego ekscellencyi Bilińskiego, drugi od burmistrza miasta Tarnowa, dra Tertila.

Następnie dr. Leo, skreśliwszy pokrótce historyę powstania Legionów i pamiętny dzień 18 sierpnia 1914 w historyi grodu i narodu, w którym Rada uchwaliła milionowy dar narodowy na rzecz two-



Nowy wiceprezydent Rady szkolnej: Profesor dr. Fryderyk Zoll.

rzącego się wojska polskiego — złożył prezydent imieniem Rady uznanie i cześć dla bohaterskich Legionów i krakowskich dzieci, walczących w różnych pułkach armii. Oby te walki i krew — mówił dr. Leo — przelana dla Ojczyzny — przyniosła to, o czem wszyscy marzyliśmy, uchwalając dar narodowy.

W dalszym ciągu przemówienia dr. Leo skreślił szczegółowo wszystkie zabiegi, jakie czyniono w sprawie reaktywowania krakowskiej Rady miejskiej.

Uruchomienie Rady zawdzięczać należy w pierwszym rzędzie rekursowi, jaki członkowie Rady po jej rozwiązaniu w roku 1914 wnieśli do władz centralnych. Początkowo rekurs natrafiał na poważne przeszkody, poczem dzięki poparciu byłego komendanta twierdzy krakowskiej ekscellencyi Kuka i komisarza rządowego delegata Federowicza sprawa ta weszła na pomyślne tory.

Prezydent wyraził dalej nadzieję, iż czas przejściowy, w którym prawa Rady są ograniczone, niebawem skończy się i Rada odzyska pełnię swych praw autonomicznych.

Na drugiem z kolei posiedzeniu rady miasta Krakowa dokonano wyboru wiceprezydentów. Pierwszym



Reaktywowanie Rady miasta Krakowa: Były wiceprezydent prof dr. Kazimierz Kostanecki.

wiceprezydentem został wybrany prezes krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej, poseł Jan Kanty Federowicz, a trzecim — jako reprezentant Podgórza — inżynier Rolle. Na stanowisku drugiego wiceprezydenta pozostał dr. Sare, który piastował tę godność przed wybuchem wojny i swoją rezygnacyę, wobec jej nieprzyjęcia przez Radę miasta, cofnął.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobizny ustępujących wiceprezydentów: dra Nowaka, dra Zolla i dra Kostaneckiego, którzy w charakterze zastępców komisarza rządowego w najcięższych dla miasta czasach z całą gorliwością i poświęceniem pracowali dla dobra ludności. Podajemy również fotografie obecnie wybranego prezydyum miasta Krakowa, to jest, dra Lea, posła Federowicza i radcę Sarego.

Podobiznę trzeciego wiceprezydenta inż. Rollego zamieścimy w przyszłym numerze wraz z fotografiami wybranych delegatów do prezydyum.



Reaktywowanie Rady miasta Krakowa: Wiceprezydent radca dworu Józef Sare



Trzynastacy przy budowie nowych okopów.



Na wschodnim froncie: Rów przechodowy pomiędzy pozycyami.

Wysokie odznaczenia w krakowskim magistracie.

W uznaniu nadzwyczaj wydatnej pracy i doskonałych usług przed nieprzyjacielem w ciężkich warunkach, spowodowanych obecną wojną, nadał Cesarz drugiemu wiceprezydentowi miasta Krakowa, rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dr. Kazimierzowi Kostaneckiemu krzyż komandorski orderu Franciszka Józefa z dekoracyą wojenną — takież same zaś krzyże oficerskie otrzymali: pierwszy wiceprezydent, profesor dr. Julian Nowak i starszy radca magistratu dr. Rudolf Sikorski.



Wysokie odznaczenia w krakowskim magistracie: Starszy radca magistratu dr. Rudolf Sikorski.

Odznaczeni zasłużyli sobie najzupełniej na ten widomy znak uznania ze strony sfer najwyższych, działalność ich bowiem w tym okresie, gdy nieprzyjaciel był już prawie przed bramami miasta, była prawdziwie ofiarną i wysoce obywatelską. — Tak obaj wiceprezydenci, jak i radca dr. Sikorski, naczelny kierownik wówczas biura ewakuacyjnego, nie szczędzili pracy i wysiłków, by ludności miasta ułatwić bodaj jaką taką egzystencyę, należy się im też słusznie za to ogólne uznanie i głęboka wdzięczność.

Nowy wiceprezydent Rady szkolnej.

Naczelnym kierownikiem galicyjskiego szkolnictwa został zamianowany w miejsce wiceprezydenta dra Dembowskiego profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, dr. Fryderyk Zoll (młodszy).

Ustępującego wiceprezydenta, który około rozwoju naszego szkolnictwa niezapomniane położył zasługi, a ustąpił w pełni sił i chęci, zmuszony do tego okolicznościami, żegnano z żalem, następcę witamy z nadzieją w sercu, że na nowem a tak odpowiedzialnem stanowisku uda mu się pokonać rozliczne trudności i świadczyć dobrze swemu społeczeństwu, czego już nieraz dał dowody w dotychczasowej swej naukowej i obywatelskiej działalności.

Wiceprezydent Zoll zapisał swe nazwisko złotemi głoskami w dziejach naszej wszechnicy, pracując z zapałem jako profesor i dziekan na wydziale prawa, wreszcie jako rektor *Almae Matris,* która też z żalem żegna dziś dzielnego pracownika na niwie nauki, serdecznego mistrza i opiekuna powierzonej jego pieczy młodzieży.

I w życiu obywatelskiem naszego miasta brał dr. Zoll żywy udział. Jako członek Rady miasta Krakowa i jeden z jego wiceprezydentów w ciężkich czasach wojennych był wzorem dla innych, pozostawia też po sobie jak najlepszą pamięć, a zabiera ze sobą życzenia, by na nowej drodze błogosławił Bóg jego pracy.

Bolesna strata.

Wszechnica Jagiellońska poniosła znowu dotkliwą stratę. W ostatnich dniach nieubłagana śmierć wyrwała znowu z jej szeregów dwóch wybitniejszych profesorów: ś. p. Maurycego Rudzkiego, profesora astronomii i geofizyki, dyrektora krakowskiego obserwatoryum astronomicznego i ś. p. dra Władysława Reissa, profesora dermatologii i dyrektora kliniki chorób skórnych.



Na wschodnim froncie: Karabin maszynowy w ukrytym okopie.

S. p. prof. Rudzki urodził się w roku 1862 w Uhrynkowcach, w Galicyi. Uczył się w szkołach w Warszawie, studya uniwersyteckie odbywał



Karabin maszynowy w okopach



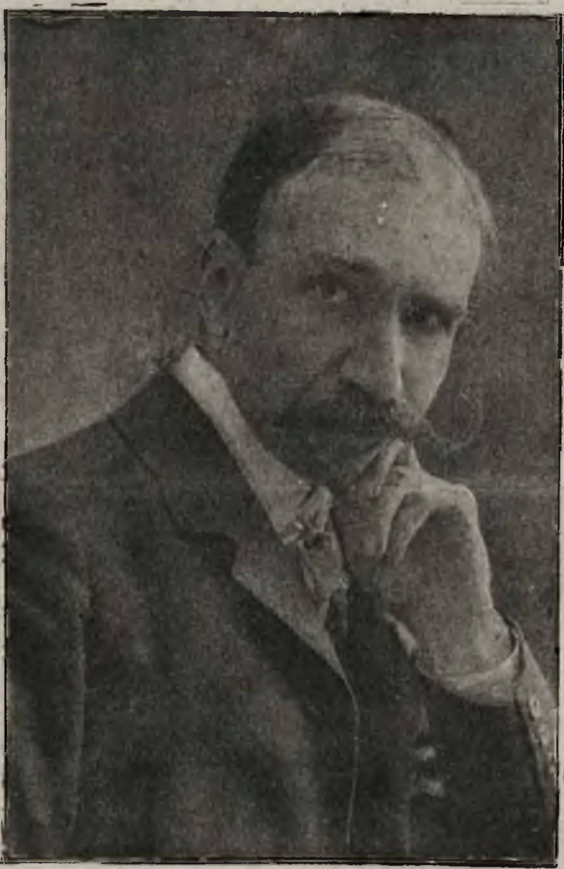
Na wschodnim froncie: Ostrzeliwanie aeroplanu nieprzyjacielskiego.





Budowa okopów pułku piechoty. **Na wschodnim froncie:** W okopach pułku piechoty.

w Wiedniu, gdzie uzyskał stopień doktora filozofii. Habilitował się jako docent uniwersytetu w Odesie w roku 1891. W roku 1895 mianowany profesorem nadzwyczajnym meteorologii i geofizyki w uniwersytecie Jagiellońskim, objął po śmierci ś. p. prof.



Bolesna strata: S. p. prof. Maurycy Rudzki, dyrektor krakowskiego obserwatoryum astronomicznego.

Karlińskiego katedrę astronomii i kierownictwo obserwatoryum astronomicznego.

S. p. prof. Rudzki był uczonym wielkiej miary. Bystry, samodzielny i krytyczny umysł, oparty o niepospolitą erudycyę, obejmował szerokie widnokręgi i położył w nauce niezatarte zasługi. Zaczął od studyów geologicznych, lecz wkrótce zajął się badaniami geofizycznemi, którym wiele lat pracy i wiele rozpraw poświęcił.

Zajmował się na przykład kwestyą „stygnięcia" kuli ziemskiej, jej wiekiem, teoryą tworzenia się gór, oscylacyami mórz; trzęsienia ziemi zajmowały go osobliwie i w seismologii był powagą, uznaną w całym świecie naukowym.

Pracował i nad zagadnieniami fizyki matematycznej (hydrodynamiki, teoryi przewodnictwa ciepła i t. p.)

Nakładem Akademii Umiejętności ukazało się dzieło prof. Rudzkiego p. t.: „Fizyka ziemi" (w Krakowie 1909 r.), obszerny i bardzo cenny wykład uniwersytecki. „Podręcznik meteorologii", napisany już podczas wojny, ma ukazać się w niedalekim czasie; będzie to już pośmiertne wydanie.

W ś. p. prof. Rudzkim traci Uniwersytet Jagielloński, traci nauka polska znakomitego badacza, niezmordowanego autora, głębokiego uczonego, zasłużonego profesora.

S. p. prof. Reiss urodził się w roku 1866 we Lwowie i tam ukończył szkołę średnią. Na uniwersytet uczęszczał w Krakowie, gdzie otrzymał doktorat nauk lekarskich. — Dłuższy czas poświęcał się naukom lekarskim w Wiedniu. Po powrocie do Krakowa został asystentem kliniki chorób skórnych, której kierownikiem był wówczas ś. p. prof. dr. Rosner.

W roku 1896 został ś. p. prof. dr. Reiss docentem dermatologii w Uniwersytecie Jagiellońskim, a wkrótce po śmierci prof. dra Rosnera objął katedrę tych nauk. W roku 1911 i 1912 ś. p. prof. dr. Reiss piastował godność dziekana wydziału lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zmarły pozostawił cały szereg prac naukowych.

Śmierć zasłużonego dla nauki polskiej ś. p. dra Reissa nastąpiła niespodziewanie i po parodniowej zaledwie słabości.

Cześć Ich pamięci!

Szczęśliwe spotkanie.

Wojna obfituje w różne niespodzianki, niestety, częściej smutne i bolesne. Zwłaszcza dla nas, Polaków, jest ona pełną tragizmu, bo nie tylko toczy się na naszej ziemi, którą zamienia w pustynię, ale zadaje i rany moralne. Polacy, rozdzieleni pomiędzy walczącemi państwami, muszą niekiedy walczyć przeciw sobie, spotykając się na placu boju, jak wróg z wrogiem!... Pisma niejednokrotnie już notowały te tragiczne spotkania Polaków walczących w szere-



Bolesna strata: S. p. dr Władysław Reiss, profesor dermatologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

gach nieprzyjacielskich armii. Dziś zato notujemy wyjątkowo szczęśliwe spotkanie, które przedstawia zamieszczona fotografia. Widzimy na niej dwóch rodzonych braci, Zygmunta i Konrada Pomian Szrednickich. Pierwszy jest podpor. szóstego pułku Legionów polskich, drugi — wziętym do niewoli żołnierzem rosyjskim. Szczęśliwy los wytrącił jednemu broń z ręki i pozwolił spotkać się im, jak brat z bratem...





Wały zaporowe na błotach wołyńskich. **Na wschodnim froncie:** Komendanci oddziału karabinów maszynowych.

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

17

— Tak, Krzycki to jej dawna i jedyna miłość... To ciekawa historya, ale opowiem ci o niej kiedyindziej, a teraz chodź, zabieram cię do nas! Hanka jest w domu, więc przypuszczam, że i Krzycki się zjawi...

— Idę Stasiu natychmiast z tobą!...

— Pożegnajże się przynajmniej z panem Montwiłłem — zauważyła Stasia, z złośliwą satysfakcyą obserwując bladą, wzburzoną twarz Montwiłła, który stał nieruchomo z przyciętemi ustami.

Starał się zachować spokój, ale najmiej bystre oko spostrzedz mogło, ile go wysiłku woli ten spokój kosztuje.

Miłość Stasi nieodwzajemniona przeszła w nienawiść i sycila się teraz z rozkoszą widokiem jego upokorzenia i bólu.

Oczy Stasi mówiły: cierpiałam ja, cierp i ty.

— Aha prawda, z panem Montwiłłem — mówiła Anielka, która zapomniała w radosnem uniesieniu o obecności swego towarzysza — Przepraszam pana... pan daruje, ale muszę pożegnać.

— Rozumiem. Proszę, niech pani nie krępuje się mną — odpowiedział Montwiłł głosem głuchym, ochrypłym, jakby nie swoim.

Stasia uprowadziła Anielkę, rzucając Montwiłłowi jeszcze jedno spojrzenie tryumfujące odwetem.

— — — — — — — — — — — — — —

Pani Krystyna przyszła do domu w bardzo złym humorze. Przez cały dzień nic się jej nie wiodło. Już rano, pudrując się, spostrzegła w kątach oczu cieniutkie siatki zmarszczek. Może te zmarszczki były tam już dawniej, ale ona właśnie dzisiaj je zauważyła. Potem, kiedy czesała swoje bujne włosy, znalazła na grzebieniu kilka srebrnych nitek.

Siwe włosy — zapowiedź skradającej się starości.

Po obiedzie wybrała się jak zwykle do szpitala w Rudolfinum, ale u Walczaka spotkała Krzyckiego. Nie pozostawało jej więc nic innego, jak zamienić kilka obojętnych zdań i pożegnać się, bo widocznem było, że młodzi ludzie mają sobie wiele do powiedzenia.

Pani Krystynie zdawało się przytem, że Krzycki jakoś złośliwie i drwiąco przypatruje się jej.

Nie wiedziała, co począć z resztą dnia. Początkowo zamierzała udać się na Karlin do szpitala, w którym już dawno nie była, rozmyśliła się jednak.

Upał zniechęcił ją do tak dalekiej wycieczki.

Zapragnęła odwiedzić jedną ze swoich znajomych, cóż kiedy nie zastała jej w domu.

Wstąpiła do kawiarni na lody, aby ochłodzić się trochę i spotkała się tam z kilku znajomemi osobami.

Rozmowa toczyła się wyłącznie dokoła wyjazdu z Pragi — wszystkich ogarnęła gorączka powrotu. Do kraju! Do kraju, jak najprędzej.

— Kiedy pani wyjeżdża — pytano panią Krystynę.

— Może pani dopomódz w załatwieniu formalności? — ofiarował się jakiś uprzejmy jegomość — bo to trzeba mieć i legitymacyę z fotografią i poświadczenie z policyi... Dla kobiety trudno wystarać się o to wszystko.

Kiedy zaś pani Krystyna oświadczyła, że nie ma zamiaru w najbliższym czasie powracać do kraju — ozwał się szmer zdziwienia.

— Dlaczego? dlaczego? — pytali wszyscy.

Pani Wolska odpowiedziała wymijająco, aby jednak przerwać niemiłą dla siebie rozmowę, pożegnała się i wyszła.

Zrozpaczona całodziennem niepowodzeniem, zdecydowała się pójść do kinematografu.

W przepełnionej sali „Bio Lucerna" było tak gorąco i duszno, że trudno było oddychać.

Program nie zainteresował jej, to też nie czekając końca przedstawienia, poszła do domu.

Głowa ją rozbolała, czuła się zdenerwowaną i osłabioną.

W głębi ducha przyznawała słuszność Anielce, że lato w mieście nie przedstawia się wcale ponętnie.

I jej przypomniały się Zalesinki w wieńcu cienistych, balsamicznych lasów, oddychające w tym czasie wonią świeżo skoszonego siana.

A jednak z Pragi wyjechać nie chciała.

W domu stół do kolacyi nie był jeszcze nakryty.

— Ach! Z tą służącą Czeszką trudno dojść do ładu — irytowała się pani Krystyna — już lepsza była Wikcia... I Anielki niema... Po ósmej już... Trochę za długo przeciąga się ten spacer z Montwiłłem... To sensu niema, nie wypada... Przecież on jeszcze nie narzeczony... Dzwoni ktoś... To pewnie ona!

Nie myliła się, była to Anielka. Do pokoju wbiegła raczej, niż weszła, uśmiechnięta, zarózowiona, promieniejąca z błyszczącemi oczyma.

— Dobry wieczór cioci! Ciociu, cioteczko kochana!

Jak rozswawolony dzieciak poskoczyła ku ciotce, pochwyciła ją w pół, obróciła kilka razy w kółko i zaczęła całować.

Pani Krystyna nie była wcale usposobiona do czułości, wysunęła się więc dość niecierpliwie z objęć siostrzenicy.

— Co ty wyprawiasz, Anielko?!

— Oj! Ciociu, ciociu! Żeby ciocia wiedziała...

— Cóż takiego mam wiedzieć?

— No, nic... no... e... nic!...

Pani Krystyna ze zdumieniem spoglądała na siostrzenicę. Od wielu już miesięcy nie widziała jej tak wesołej, swobodnej i rozpromienionej.

— Wiesz Anielko, że ty wyglądasz tak, jakbyś nagle zwaryowała, albo niespodzianie szczęście na drodze znalazła.

— A może i znalazłam, ciociu, może znalazłam...

— Aha!

Pani Krystynie zdawało się, że odgadła powód radości Anielki.

— Montwiłł się zapewne oświadczył?!

— Komu?

— Jakto komu? Naturalnie, że tobie!

Anielka wybuchnęła rozgłośnym, młodzieńczym śmiechem.

— Mnie miał się oświadczyć?! Nie! Na szczęście nie oświadczył się.

— Więc czego ty się tak cieszysz?

Anielka nie odpowiedziała, ale zabrzmiała znowu gama jej srebrzystego śmiechu.

— Możebyś mi była łaskawa powiedzieć, dlaczego tak się chichoczesz?

— Tak sobie, ciociu... Cieszę się, że na świecie tak ładnie... Taki śliczny dzień był dzisiaj.

— Co? Tobie się podobał upalny dzień letni w Pradze?! No, to znowu zupełnie coś nowego.

— Wie cioteczka, do wszystkiego przyzwyczaić się można... Doszłam do przekonania, że Praga jest zupełnie przyjemna, nawet w lecie.

Pani Krystyna wzruszyła ramionami.

— Cieszy mnie twój dobry humor, ale przyznać muszę, że stajesz się jakoś dziwnie kapryśna i nieobliczalna. Gdzieżeś ty była do tego czasu? Na spacerze z Montwiłłem?...

— Nie, ciociu... Z Montwiłłem pożegnałam się dawno... Byłam u Staszyńskich.

— U Staszyńskich?! Znowu coś nowego! Przecież, o ile wiem, stosunki między niemi a tobą panowały naprężone. One okazywały ci wyraźną oziębłość, a ta Stasia robiła jakieś niegrzeczne poprostu miny... O co jej chodziło, domyślam się... Skądże jednak taki nagły powrót do przyjaźni?

— E! to już minęło... W tem wszystkiem było dużo mojej winy — zapewniała Anielka — dzisiaj przekonałam się, jakie to dobre, poczciwe dziewczęta. A Hanka, to za mąż wychodzi, wie ciocia?

Pani Krystyna aż zerwała się z krzesła.

— Co? Hanka wychodzi za mąż? Ta poważna, blada sensatka, która robiła wrażenie, jakby lada dzień wstąpić miała do klasztoru. No, to tej różowej Stasi nie bardzo przyjemnie, że młodsza siostra — boć ona pomimo swego wyglądu, pono młodsza o lat kilka — wyprzedziła ją... A któż jest narzeczonym?

— Porucznik Krzycki, w „cywilu" kandydat na adwokata... Jest ranny, przybył więc do szpitala w Pradze.. Oni się z Hanką dawno, dawno kochali wtedy, kiedy ona była jeszcze podlotkiem.

— Porucznik Krzycki... — powtórzyła pani Krystyna.

Przed oczyma mignęła jej wyrazista twarz męska o energicznie zarysowanych rysach, wysokiem czole i ciemnych bystrych oczach... Przypomniała sobie, że porucznik, odwiedzający Walczaka, nosił nazwisko Krzyckiego.

— No, to bardzo szczęśliwie dla Hanki... — rzekła po chwili pani Wolska — Bierz z niej przykład, Anielko.

Anielka roześmiała się.

— Chciałaby ciocia tego? Dałaby mnie ciocia komuś, coby o to ładnie poprosił?...

— Może... — uśmiechnęła się pani Krystyna — Zależy, jak komu.

Po twarzy Anielki przedległ cień!

„Zależy jak komu"... — powtórzyła sobie w myśli.

Nie mogła jednak długo smucić się, fala powracającej wesołości, radości życia opłynęła ją...

Filuternie uśmiechając się, zaśpiewała:

„Moja ciociu, nie bądź sroga,
Ja mam już dwadzieścia lat.
Wydajże mnie ach! dla Boga,
Wydajże mnie prędko w świat".

Pani Krystyna zdziwiła się znowu. Czuła się dzisiaj jednak tak zmęczona, że nie miała ochoty badać powodów zmiany usposobienia siostrzenicy, która kręciła się po pokoju, śmiejąc się, opowiadając jakieś drobnostki z przeżyć dnia.

— Moja Anielko — przerwała jej ciotka — powiedz służącej, aby nakryła do kolacyi... Późno już, a ja chciałabym spać się położyć... Głowa mnie boli...

— To cioteczkę głowa boli, a ja gadam i gadam, jak terkotka!... Już milknę, ciociu! Zaraz zajmę się kolacyą, bo i ja jestem głodna, straszliwie głodna... Wilczy apetyt mam poprostu...

Pomimo zapewnień o „wilczym apetycie" Anielka nic prawie jeść nie mogła. Wzruszenie scisnęło jej gardło. Gorącą herbatę piła tak pospiesznie i nieuważnie, że poparzyła sobie usta.

Pani Krystyna jadła również mało i milczała, przykładając co chwila rękę do czoła.

Nagle Anielka przestała pić herbatę, spojrzała na ciotkę i z filuternym uśmiechem zapytała:

— Pójdzie ciocia jutro do szpitala w Rudolfinum?

Pani Krystyna drgnęła.

— Dlaczego pytasz o to?

— No, tak sobie — ciągnęła dalej z zagadkowym uśmiechem Anielka — Chciałam się dowiedzieć, jak się miewa ten ranny oficer, którego ciocia tak często odwiedza.

Pani Krystyna uczuła, że krew uderzyła jej do twarzy. Czyżby anielka chciała robić jakieś aluzje? Może posłyszała jaką złośliwą plotkę i ośmiela się powtarzać ją?!

Gniew zatargał panią Wolską na to mniemane zuchwalstwo siostrzenicy.

— Moja kochana — zawołała podniesionym głosem i tonem bardzo ostrym — co to znaczy?! Od kiedy nauczyłaś się kontrolować i krytykować twoją ciotkę i opiekunkę?! Rzeczywiście pięknej doczekałam się pociechy!

Anielka spojrzała wystraszona i stropiona. Ona tak się cieszyła, kiedy się dowiedziała, że to właśnie Kazimierz jest tym rannym, którym tak bardzo interesuje się pani Krystyna.

Chciała odrazu biedz do ciotki, rzucić się jej na szyję, podziękować, opowiedzieć wszystko, podzielić się z nią swojem szczęściem.

Z trudem udało się Krzyckiemu i Staszyńskim przekonać ją, aby przez czas jakiś jeszcze zachowała tajemnicę.

A teraz ciotka tak się rozgniewała z powodu niewinnego zapytania. Dlaczego?

— Ależ, cioteczko — mówiła zmieszana — Skądże myśl o jakiejś kontroli czy krytyce?... Przecież ja...

— Dość tego! — przerwała jej nie łagodząc tonu pani Krystyna — Prawdopodobnie te rozmaite emancypowane panie i panny, z któremi zapoznałaś się, udzielają ci takich lekcyi poszanowania dla starszych! Ale ja na to nie pozwolę! Wypraszam sobie na przyszłość wszelkie tego rodzaju uwagi i zapytania — rozumiesz? Proszę cię, nie irytuj mnie! I tak głowa mnie boli, nie mam więc ochoty, aby mnie z twojej łaski rozbolała mocniej.

Anielce, tak surowo zgromionej, zakręciły się w oczach łzy. Nie pojmowała zupełnie, co właściwie w jej słowach było tak zdrożnego i niewłaściwego, ale pytać nie śmiała.

Na słoneczną jej radość padł jakiś cień.

Nie odezwała się już więcej ani słowa, szybko wypiła herbatę i rzuciwszy ciotce krótkie „dobranoc", poszła do swego pokoju.

Kiedy znalazła się sama, zapomniała zaraz o przykrem zajściu z ciotką.

Dzisiaj nie mogła przecież długo smucić się ni martwić, nie mogła myśleć, jak tylko o szczęściu swojem, które powróciło, i o Kazimierzu.

— Zyje! Zyje! Zyje! — powtarza głośno Anielka, pieszcząc się dźwiękiem tego słowa, które brzmi jej w uszach, jak anielska muzyka.

Przypomniała sobie, jak to Krzycki, patrząc jej uważnie w oczy, opowiadał, że Kazimierz ciężko ranny... Niebezpieczeństwo życia wprawdzie już minęło, chory zaczyna nawet wstawać, jednak bardzo możliwą rzeczą jest, że pozostanie na zawsze kaleką.

Czy Krzycki myślał, że ona zlęknie się, odstąpi Kazia w nieszczęściu?

— Jeżeli pozostanie kaleką, to tem więcej będę mu potrzebna, bo jestem silna i zdrowa! — odpowiedziała.

Krzycki wówczas spuścił oczy.

Nad łóżkiem Anielki wisi kopia Rafaelowskiej Madonny Sykstyńskiej. Dziewczynie zdaje się, że

przesłodkie, litosne oczy Najświętszej Matki, trzymającej na ręku Dzieciątko, uśmiechają się do niej.

— Cud! Cud! — szepcze.

Anielka osuwa sie ua kolana.

Wargi jej nie poruszają się słowami modlitwy, ale modli się jej ufna dusza w cichej pokorze i szczęściu bezmiernem.

ROZDZIAŁ XXI.

— Więc pani mnie stanowczo nie chce? — pytał Koncewicz, postępując obok Anielki na ulicy.

Panna roześmiała się tak serdecznie, że z za różowych warg błysnęły jej białe równe zęby.

— Stanowczo i nieodwołalnie!

— To tak niby pani mi daje „kosza?"

— „Kosza", „harbuza" czy jak się to panu podoba nazwać.

— To ja się będę musiał z tem pogodzić...

— Nic innego nie pozostaje panu do zrobienia, ale niech mi pan jednak powie, skąd panu przyszło do głowy oświadczać mi się tak ni stąd ni zowąd na ulicy, bez fraka, bez bukietu i innych akcesoryów oświadczynowych? — pytała Anielka, rozbawiona temi niespodziewanemi oświadczynami.

Koncewicz spojrzał na nią zakłopotany, przyczem minę miał jeszcze głupszą, niż zwykle.

Nie wiedział, co miał odpowiedzieć. Wysilać się na jakieś kłamstwa, zapewnienia miłości, to było zbyt wiele dla jego leniwego umysłu.

Wahał się jednak, czy powiedzieć prawdę.

W istocie rzecz tak się miała, że tato-starosta przynaglał go do tych oświadczyn, bo synek przez cały czas pobytu w Pradze wyciągał od niego à conto swoich konkurów i posagu przyszłej żony większe snmy pieniędzy, które topniały w knajpach praskich i w rękach rozmaitych Mařenek, Marusěk, Ruženek.

Koncewicz przewidywał, że Anielka nie odda mu swojej ręki i w gruncie rzeczy nie zależało mu na tem, bo nie kochał się w niej wcale pomimo jej urody.

Uważał, że jest nudna, kapryśna, wymagającą, „przemądra", jak ją nazywał przed kolegami.

Nieraz myślał o tem, jakby to dobrze było, gdyby Mařenka z „Cernego Pivovaru" miała posag panny Zurakowskiej.

Oświadczyć się jednak musiał, bo ojciec wymagał tego koniecznie. Właśnie wczoraj otrzymał list, w którym pan starosta wyrażał swoje zdziwienie, że dotychczas nie jest jeszcze po słowie z panną Anielą.

„Mieliście już przecież czas — pisał — dostatecznie poznać się... Sądzę, że zdołałeś pozyskać sobie przychylność pani Wolskiej i jej siostrzenicy, a co do ciebie, to chyba dłużej namyślać się nie potrzebujesz... Któżby się namyślał długo, czy oświadczyć się pannie bogatej, dobrze urodzonej i ładnej w dodatku...

Oświadcz się więc jak najprędzej, abyście do Galicyi powrócili już jako narzeczeni...

Oczekuję decydującej odpowiedzi, w przeciwnym razie nie poślę ci ani grosza"...

Cóż więc było robić? Młodzieniec postanowił oświadczyć się pannie Zurakowskiej, aby wykazać ojcu, że zrobił „swoje". Jeżeli dostanie „kosza", ha! trudno — to się już wielu innym zdarzyło!

Przypadek mu posłużył: spotkał Anielkę na ulicy. Nie zastanawiając się długo, bez wszelkich wstępów i przygotowań „wyrąbał" swoje oświadczyny.

W odpowiedzi usłyszał, czego się zresztą spodziewał, krótkie i stanowcze: „nie".

Nie zmartwił się tem zbytnio i odetchnął z ulgą, że nareszcie przebrnął przez te oświadczyny.

— Wie pani — odpowiedział wreszcie na pytanie Anielki — to jest tak, że mój tacio wbił sobie do głowy, żebym się ja koniecznie z panią ożenił...

— Aha! Rozumiem! — zaśmiała się Anielka — Ojciec kazał panu oświadczyć się, a pan jako dobry i posłuszny syn poddał się jego woli! Doskonale! Ogromnie dla mnie pochlebne i zachęcające! Ale taka szczerość to się panu chwali.

— E! Pani to się zawsze wyśmiewa ze mnie... Powiem prawdę, że z panią to nie wiedzieć jak mówić. Sam nie wiem, czy pani za mądra, czy ja za...

Chciał powiedzieć „za głupi", ale się zatrzymał, nie dokończył, natomiast dodał:

— Przyznam się pani, że my to nie „pasowalibyśmy" do siebie. Pani co innego lubi, a ja co innego...

— Nareszcie rozumne słowo!

— O! Czy to ja jedną rozumną rzecz mówiłem — bronił się młodzieniec — tylko pani słuchać tego nie chciała. Zawsze pani była taka poważna, że strach. Teraz to pani jakoś zmieniła się, weselsza, różowa i taka ładna, że aż żal trochę bierze...

— Oho! Pan Koncewicz zaczyna komplementy mówić! — przerwała mu Anielka — Wie pan co, pożegnajmy się, bo inaczej mógłby pan jeszcze na poczekaniu zakochać się we mnie i tragedya gotowa!

Koncewicz skwapliwie pożegnał się i pobiegł odrazu na pocztę. Przez drogę układał sobie w myśli następujący telegram:

„Oświadczyłem się, dostałem „kosza", proszę o pieniądze, czy mam przyjechać
Witold".

Anielka, uwolniwszy się od towarzystwa Koncewicza, przyspieszyła kroku, kierując się ku ulicy Szczepańskiej, gdzie mieszkały Staszyńskie. Miał tam na nią oczekiwać Krzycki z wiadomością, kiedy będzie mogła zobaczyć się z Kazimierzem.

— Panno Anielo! panno Anielo! — posłyszała za sobą — Dokąd pani tak spieszy?

Odwróciła się niechętnie, poznała bowiem głos Zerwanówny.

Czarne oczy panny Stefci tak żywo latały, usta uśmiechały się tak zachęcająco, że Anielka domyśliła się od razu, o co jej chodzi.

— Oho! Wysypie worek z plotkami! — pomyślała.

— Pani sama? — zapytała Zerwanówna, podkreślając głosem zdziwienie.

— Jak pani widzi. Cóż w tem dziwnego?

— Właściwie nic — odparła słodziutkim tonem — tylko że wszyscy przyzwyczaili się widywać panią z panem Montwiłłem.

— Bo ludzie prędko i łatwo się przyzwyczajają! — odpowiedziała Anielka — Istnieje zatem nadzieja, że z równą łatwością odzwyczaić się mogą. Pan Montwiłł nie jest moją guwernantką, aby miał strzedz każdego mojego kroku.

— Rozeszło się — błysnęła Zerwanównie myśl — ale kto zerwał, on, czy ona?

Postanowiła to wybadać natychmiast.

— Wie pani, panno Anielko — zaczęła po chwili, jakby od niechcenia — że ja nawet dziwiłam się trochę tym względom pań dla tego pana Montwiłła... Bo właściwie niewiadomo, kto to jest...

— Owszem, najzupełniej wiadomo... Ciocia moja zna nawet kogoś z jego krewnych. Jeżeli pani ciekawa, to mogę panią poinformować, że pan Montwiłł jest synem bardzo zamożnej rodziny obywatelskiej z Lubelskiego, skończył wydział prawny. Jednem słowem, wymarzony kandydat na męża — mówiła Anielka, trochę ironicznem spojrzeniem mierząc swoją towarzyszkę.

— Nic więc dziwnego, że niektóre panny tak na niego polują — odcięła się Zerwanówna. — Ta Staszyńska na przykład, która się trzepota, jak gdyby miała lat piętnaście, straciła zupełnie głowę.

Wzmianka o Stasi była dla Anielki wielce niemiłą, to też przerwała stanowczym tonem:

— To już chyba wyłącznie jej sprawa! Co nam do tego!

— Oczywiście, oczywiście! — przyznała jeszcze słodszym głosem panna Zerwanówna. — Mnie też to nic a nic nie obchodzi. Ten Montwiłł to jednak ma zmienne gusta... Spotkałam go przed chwilą z doktorową Lezerową... Zdawał się nią być bardzo zajęty... Nie rozumiem doprawdy, co on w niej widzi... Kokietka, wymalowana, wyzywająco ubrana...

— Mnie się wydaje ona bardzo ładną i elegancką — odpowiedziała obojętnie Anielka.

Zerwanówna śledziła uważnie wrażenie swych słów na twarzy Anielki, ale twarz ta była tak spokojna, że doznała zawodu.

— Nie obeszło ją — pomyślała — to chyba ona zerwała...

Zaprzestała więc rozmowy o Montwille i podjęła inny temat.

— Jakże się miewa ciocia pani?

— Dziękuję pani, zupełnie dobrze.

— Czy ciągle równie gorliwie odwiedza szpitale?

— Tak jest.

— Szpital w Rudolfinum cieszy się jej specyalną opieką.

— Istotnie.

— Interesuje się bardzo jednym rannym oficerem.

— Skąd ona o tem wiedzieć może? — zdziwiła się w duchu Anielka. Nie zrozumiała ona, co właściwie chciała powiedzieć Zerwanówna, przeczuwając jednak jakąś złośliwość pod adresem ciotki, spojrzała na swoją towarzyszkę pytająco.

Zerwanówna nie pozostawiła jej w niepewności co do swoich słów, dodała bowiem w formie wyjaśnienia:

— Podczas takich odwiedzin szpitalnych często kojarzą się małżeństwa... Ciocia pani jest wdową, więc może...

Pomysł wydania ciotki zamąż za Kazimierza wydał się Anielce tak niesłychanie zabawnym, że o mało co nie wybuchnęła śmiechem. Zapanowała jednak nad sobą i zdając sobie sprawę ze zjadliwej intencyi, zawartej w słowach Zerwanówny, rzekła tonem dość surowym:

— Moja ciocia robi to, co uważa za stosowne, ani ja, ani nikt inny nie jest upoważniony do kontrolowania jej...

— Zapewne, tylko... — Zerwanówna chciała dodać jeszcze jakiś złośliwy komentarz, powstrzymała się jednak. Przyszła jej do głowy refleksya, że bądź co bądź z taką panią Wolską należy liczyć się trochę.

Anielka, zirytowana, że Zerwanówna paplaniem swojem mąci przecudną pieśń szczęścia, która się rozśpiewała w jej duszy, przyspieszyła energicznie kroku. Panna Stefcia zaledwie nadążyć jej mogła.

— Czy wolno zapytać, dokąd pani tak spieszy?

— Do panien Staszyńskich — odpowiedziała krótko Anielka.

— Do Staszyńskich? Aha, podobno panna Anna zamąż wychodzi?

— Rzeczywiście wychodzi.

— Tak, tak, słyszałam coś o tem... To ciekawa historya. Ludzie są tak złośliwi, zawsze coś mówić muszą... Opowiadają, ale ja temu nie wierzę, że oni znali się już dawniej, ona kochała się szalenie, Krzycki zerwał, a teraz, kiedy spotkali się w Pradze, zmusiła go, aby się ożenił... Zagroziła mu skandalem, więc musiał...

Anielka pobladła z oburzenia.

— Jak pani może powtarzać podobnie niegodziwe rzeczy!

— Mówiłam przecież, że ja temu nie wierzę, ale powszechnie tak opowiadają...

Anielka zapragnęła nagle zemścić się na Zerwanównie za wszystkie jej złośliwości i zapytała niespodziewanie:

— Może pani chciałaby dowiedzieć się, co słychać z panem Zarnickim? Wiem przecież, że pani bardzo się nim interesowała... Mogę pani udzielić wiadomości, bo Józia otrzymuje prawie codzień listy od niego... Jest przydzielony do służby pozafrontowej i prawdopodobnie wkrótce, pomimo młodego wieku Józi, odbędzie się ślub.

Anielka wprawdzie skłamała trochę, bo o ślubie Żarnickiego z Józią nie było na razie wcale mowy, ale ogarnęła ją taka chęć dokuczenia Zerwanównie, że nie mogła powstrzymać się od tego niewinnego kłamstwa.

— Gratuluję — roześmiała się ostro i ironicznie Zerwanówna — dobrą będzie Zarnicki miał żonę, chyba policyanta przy niej postawi, któryby jej pilnował!... Zresztą i on nie lepszy... Ale pożegnam panią, muszę wstąpić do sklepu, aby kupić dla mojego narzeczonego podarunek, który mu chcę posłać do pola...

Od pewnego czasu Zerwanówna opowiadała wszystkim znajomym, że ma narzeczonego na wojnie. Przygotowywała dla niego ciągle jakieś podarunki, haftowała batystowe chusteczki, dziergała szydełkiem jedwabne szaliki, zaknpywała rozmaite najniepraktyczniejsze drobiazgi. Czy i komu posyłała te rzeczy, tego oczywiście nikt nie mógł stwierdzić...

— — — — — — — — — — — — —

Praga opróżniała się z polskich uchodźców.

Przepełnione pociągi uwoziły codziennie tłumy stęsknione do kraju, do domu. Ci, którzy pozostali, przygotowywali się do odjazdu, mówili o nim, marzyli o nim.

W „kuchni polskiej", wyjąwszy porę obiadową, nie było prawie nic do roboty. Panie, pełniące jeszcze popołudniowe dyżury, kiedy niekiedy tylko sięgały do imbryka z herbatą. Jedynie stary Gilewski przychodził stale na podwieczorkową herbatę i na gazety. Siadał w swoim ulubionym kącie pod oknem i smętnie rozglądał się po pustej sali.

Stowarzyszenia polskie kończyły swoją działalność.

Pan radca Spiączka zamknął uroczyście swoje urzędowanie i ogłosił w dziennikach sprawozdanie, zredagowane bardzo niejasnym stylem, z którego wszakże wynikało jasno, że większą część dochodów „Komitetu" pochłonęły wydatki administracyjne.

Z koła znajomych pani Wolskiej ubyło już wiele osób. Zebrania „pod Łabędziem" odbywały się jeszcze czasem, ale nieliczne i nieożywione.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Dzień „Czerwonego Krzyża“ w Piotrkowie.

Za przykładem Lublina i ofiarny Piotrków zajął się gorliwiej losami galicyjskiego stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża“, a to z tem większą ochotą,



Szczęśliwe spotkanie: Podpor. szóstego pułku piechoty Legionów polskich Zygmunt Pomian-Srzednicki i brat jego Konrad — żołnierz rosyjski, wzięty do niewoli.

że zapowiedziany dzień na rzecz tego stowarzyszenia zbiegł się przypadkowo z otwarciem wspaniale urządzonego szpitala dla Legionistów galicyjskiego „Czerwonego Krzyża“ w Piotrkowie. — Fakt ten wzbudził serdeczną sympatyę dla stowarzyszenia polskiego, które współdziałając z całym światem nad kojeniem ran, zadanych wojną, zajęło się głównie dolą polskiego żołnierza.



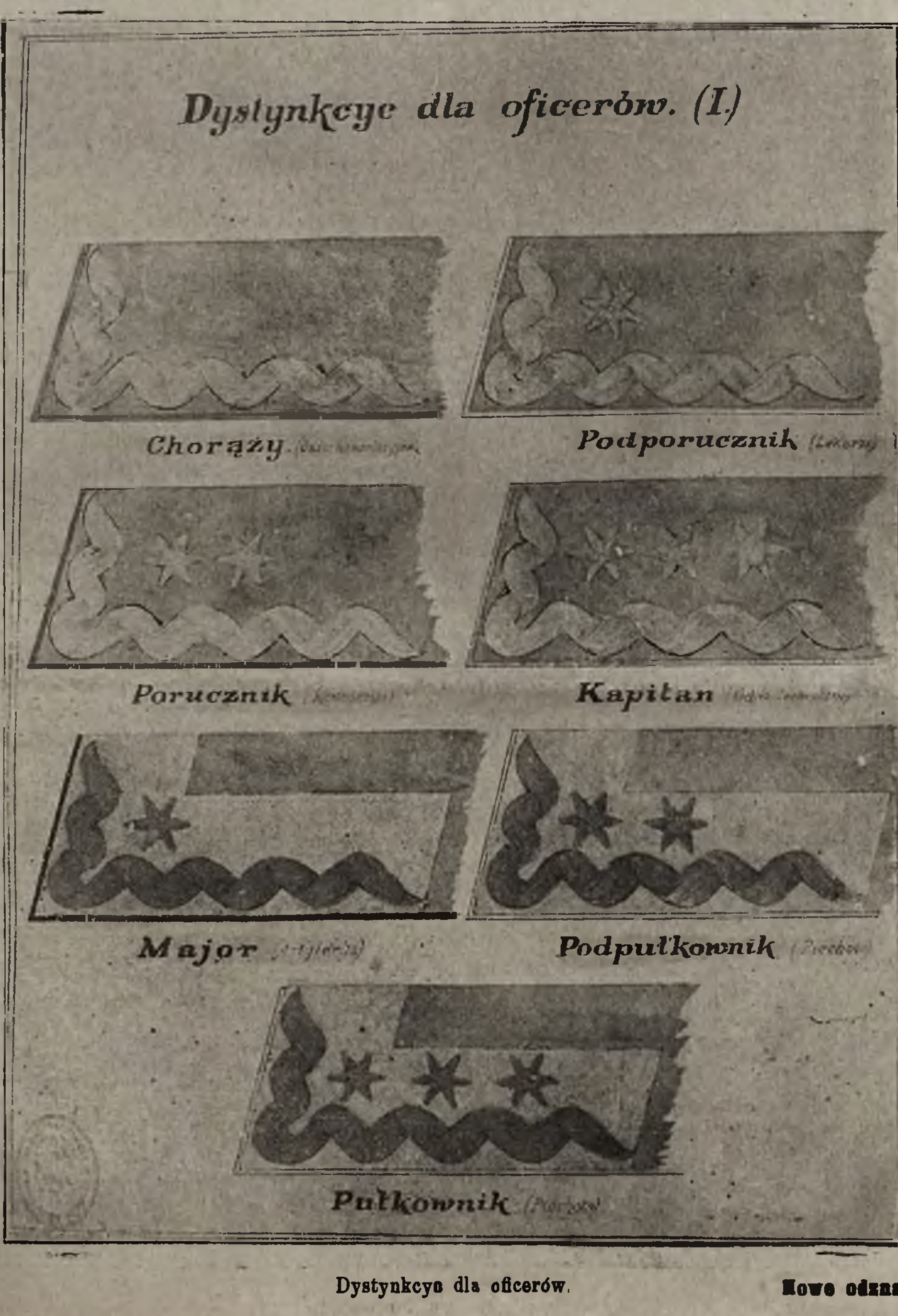
Dzień Czerwonego Krzyża w Piotrkowie: Pawilon z kwiatami. Stoją (od lewej ku prawej): Starosta dr. J. Dunikowski, starościna Zofia Dunikowska, inspektorowa Koroleska, major Wit, redaktorowa Zagórska, redaktor Pluta, dr. Klisiewicz.

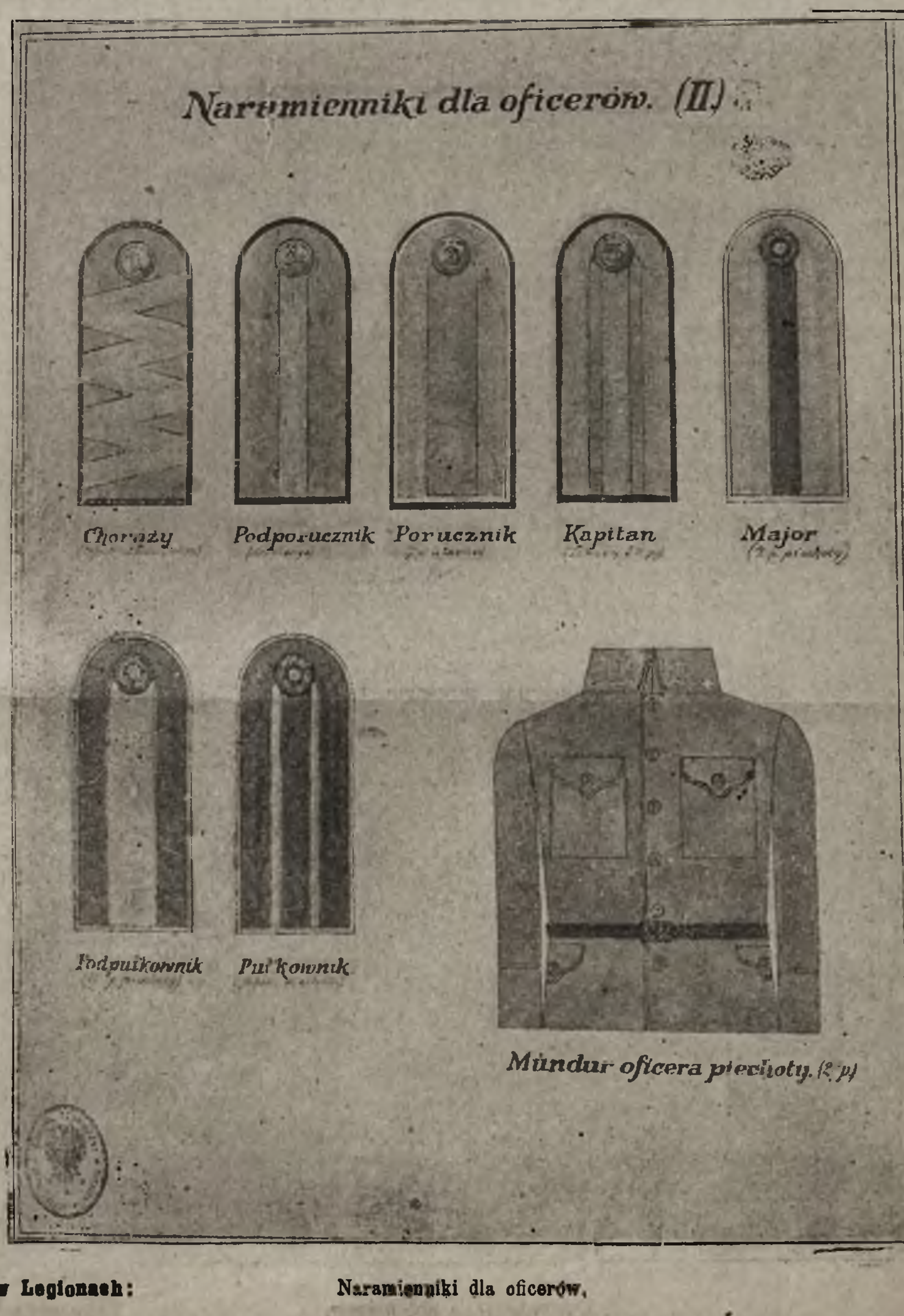
To też nie poszły na marne zabiegi komitetu Dnia „Czerwonego Krzyża“, na czele którego z ochotą stanęły Panie: Julianowa Schneidrowa, żona komendanta obwodu, Zofia Dunikowska, żona starosty p. dra J. Dunikowskiego i Marya Zagórska, żona redaktora „Dziennika Narodowego“. Dzień „Czerwonego Krzyża“, rozpoczęty sprzedażą znaczka i zbiórką uliczną, udał się wspaniale. Prawdziwą atrakcyą na szarym bruku piotrkowskim była wspaniała zabawa, która ściągnęła niezwykle liczne tłumy publiczności do ogrodu kolejowego. Przy dźwiękach muzyki wojskowej 100 p. p., w poszczególnych pawilonach bawiono się znakomicie. Szczególnem powodzeniem cieszyła się bogato wyposażona loterya fantowa, kwieciarnia, bufet, urządzony przez załogę a zwłaszcza kawiarnia, w której przy stolikach zebrała się cała niemal inteligencya miasta oraz wojskowość.

Późno wieczorem przy fantastycznem świetle lampionów i dźwiękach orkiestry — milkł powoli gwar uroczej zabawy.

Nowe odznaki w Legionach.

Od szeregu miesięcy czynił Departament Wojskowy N. K. N. i jego szef podpułkownik Władysław Sikorski starania u kompetentnych władz w sprawie ujednostajnienia umundurowania, odznak i dystynkcyi oficerów i podoficerów w Legionach. Dotychczas bowiem pod tym względem panowała prawdziwa pstrokacizna i rozmaitość wśród Legio-





Dystynkcye dla oficerów. **Nowe odznaki w Legionach:** Naramienniki dla oficerów.

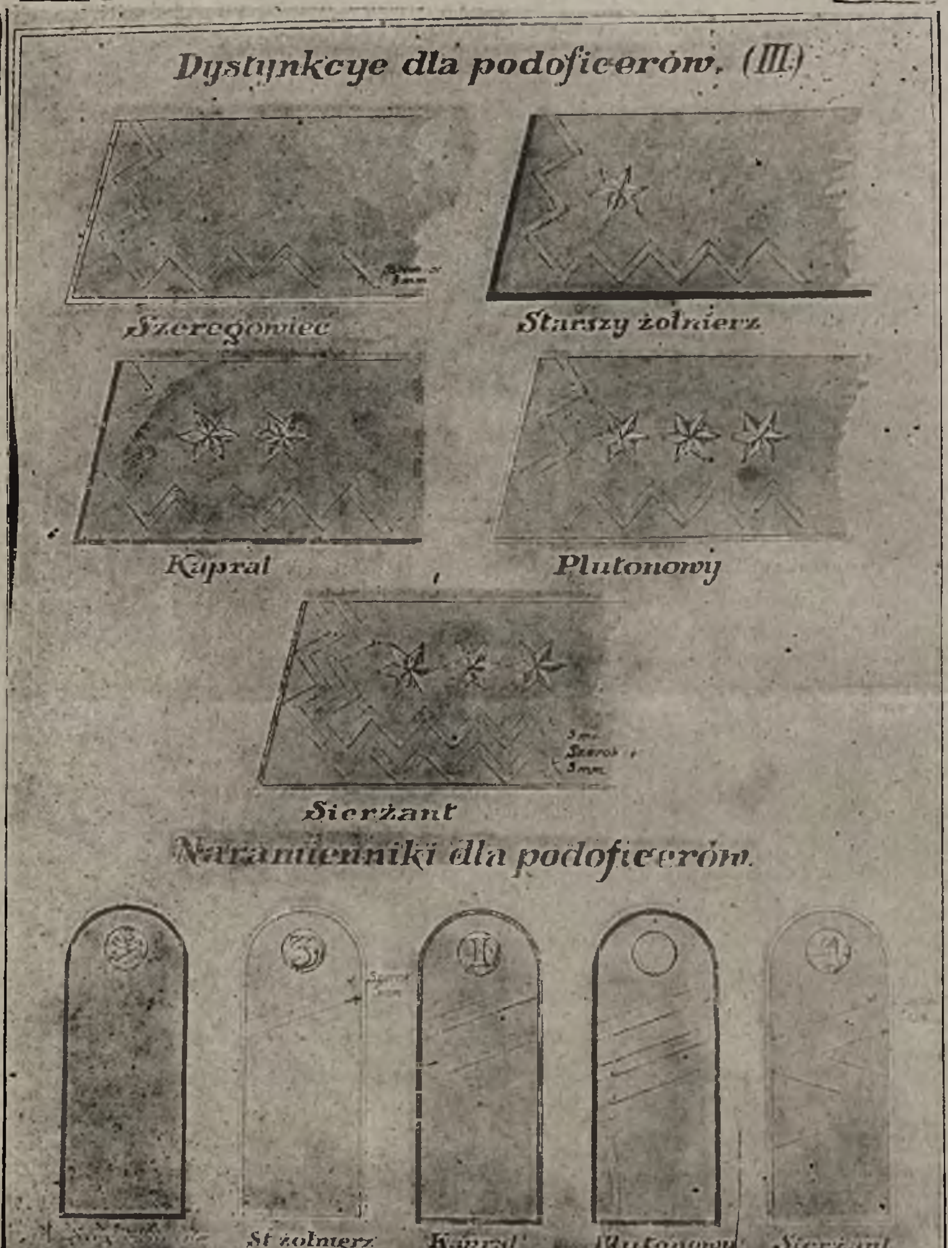


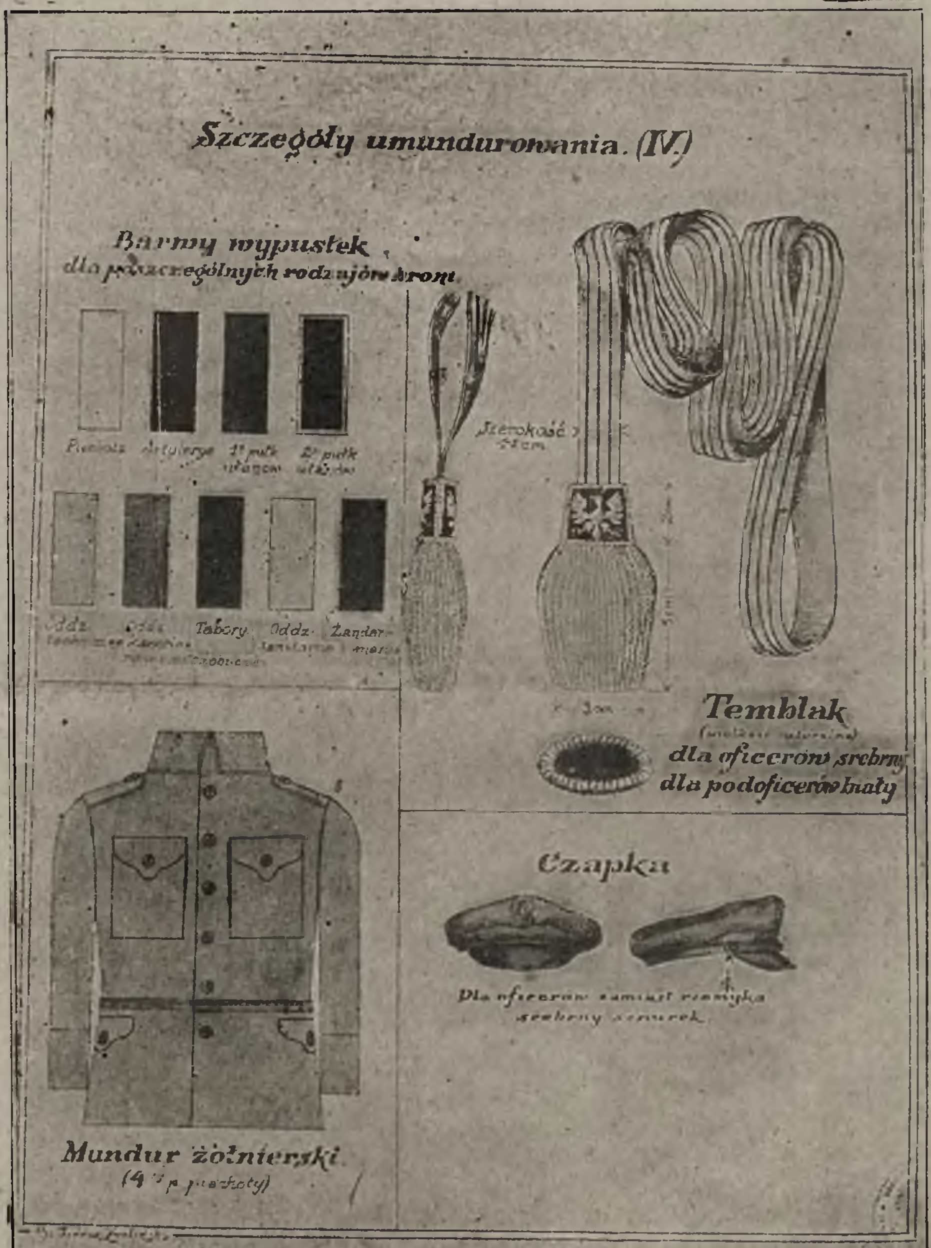
Z życia prowincyi: Uroczystość odsłonięcia tarczy Legionów w Jarosławiu (Fot. „Polonia“, Jarosław).

nistów tej samej formacyi bojowej. — Tak n. p. pierwsza brygada Piłsudskiego nosiła czapki tak zwane „maciejówki“, gdy równocześnie dwie inne brygady Legionów miały w przeważnej większości rogatywki rozmaitego fasonu. Odznaki i dystynkcye oficerów i żołnierzy również były niejednolite, zależnie od brygady.

Oficerowie pierwszej brygady nosili gwiazdki i zygzakowatą bortkę czerwoną na kołnierzu, oficerowie zaś reszty brygad używali odznak jak w c. k. armii, względnie nosili zamiast gwiazdek tak zwane „rozetki“, używane w armii przez gażystów rozmaitych.

Podoficerowie pierwszej brygady nie używali gwiazdek, lecz nosili czerwone paski na kołnierzu,





Dystynkcye dla podoficerów. **Nowe odznaki w Legionach:** Szczegóły umundurowania.

gdy ich koledzy z innych brygad za wzorem austryackim przypinali gwiazdki i inne naszywki.

Ostatnie zarządzenia władz legionowych, zatwierdzone przez naczelną komendę armii austryackiej, kładą kres tej różnolitości pod względem umundurowania i dystynkcyi w Legionach. Przedewszystkiem wprowadzono jednolite dla wszystkich brygad czapki (maciejówki) na wzór pierwszej brygady, z wyjątkiem kawaleryi, uregulowano definitywnie sprawę umundurowania i dystynkcyi dla oficerów, podoficerów i szeregowców.

W dzisiejszym numerze podajemy wzory nowych dystynkcyi legionowych.

Dystynkcye dla oficerów są następujące:

Na wyłożonym kołnierzu stojącym srebrne gwiazki dla oficerów wyższych; złote gwiazdki na srebrnych bortach dla oficerów sztabowych. Jako znamionujące odznaki noszą oficerowie Legionów wężykowate borty (paski) szerokie na jeden centimetr, a mianowicie oficerowie wyżsi ze srebra, a sztabowi ze złota. — Na płaszczu i bluzie naramienniki — szerokie na jeden do trzech, względnie na jeden centimetr, podłużne borty, u oficerów sztabowych złote, u wyższych oficerów srebrne, u chorążych plecione. Chorążowie gwiazdek nie noszą.

Dystynkcye dla podoficerów i żołnierzy są następujące:

Na stojącym kołnierzu wykładanym białe gwiazdki (starszy żołnierz jedną, kapral dwie, plutonowy trzy gwiazdki) i borta na trzy centimetry szeroka, skręcona wężowato. — U sierżantów trzy gwiazdki i borta podwójna. Ponadto na płaszczu naramiennik, a u sierżantów srebrna borta w kształcie litery Z.



Dzień Czerwonego Krzyża w Piotrkowie: Pawilon z confetti.



Dzień Czerwonego Krzyża w Piotrkowie: Goście w bufecie   pułku piechoty.



Na wschodnim froncie: Budowa nowych schronisk dla oficerów   pułku piechoty.

Na wschodnim froncie.

Rozpoczęta w pierwszych dniach czerwca na wschodnim froncie ofenzywa rosyjska, pomimo, iż rzucono olbrzymie masy wojska, poza lokalnemi sukcesami, nie odniosła bynajmniej zamierzonego celu. — Rosyanie z bezprzykładnem uporem usiłują przedrzeć się przez galicyjską lub bukowińską granicę na Węgry, lecz wszędzie odrzucono ich przy podobnych usiłowaniach. Na południowej Bukowinie opierają się stanowiska na wzgórzach, przylegających do góry Capul, wszystkim próbom Rosyan, podejmowanym celem przedarcia się ku Kirlibabie i ku gościńcom i siodłom, wiodącym do okręgu Marmarosz. Najmniej dwadzieścia razy starały się rosyjskie siły przełamać tutaj opór wojsk austro-węgierskich, nie mogąc żadną miarą przedrzeć się przez front koło Łuczyny. — Podobnie nie osiągnęły żadnego skutku wyprawy rosyjskich oddziałów patrolowych, które usiłowały w trójkącie granicznym między dopływami źródłowymi Czeremoszu posunąć się naprzód. Oddziały te bywają odrzucane za każdym razem, skoro tylko okażą zamiar przedostania się przez grzbiety graniczne gór.



Z życia prowincyi: Drużyna skautek z założycielką p. K. Wodzińską (X) podczas uroczystości odsłonięcia tarczy Legionów w Jarosławiu. (Fot „Polonia", Jarosław).

Na południowy zachód od Tatarowa zajęły austro-węgierskie oddziały nowe stanowiska na wzgórzach bez przeszkód ze strony nieprzyjaciela. Walki o Magórę przyprawiły nieprzyjaciela o wielkie straty.

Koło Łobaczówki na froncie Lipy usiłowali Rosyanie ponownie przejść do ataku, zostali jednak wszędzie odrzuceni.

Z zeznań rosyjskich oficerów, pojmanych w okolicy Nowo Poczajowa, wynika, że armia generała Sacharowa otrzymała dla podjęcia ostatnich ataków nad Lipą ogromne posiłki. Wszystkie rozporządzalne formacye bojowe wysłano do południowego Wołynia, aby z możliwie największą siłą przeprowadzić uderzenie na Lwów.

Planu zdobycia Lwowa nie poniechano ze strony rosyjskiej, aczkolwiek i tym razem okazał się on niemożliwym do urzeczywistnienia, a to bynajmniej nie skutkiem winy generała Sacharowa, lecz dzięki świetnej obronie sprzymierzonych wojsk. Również w tych walkach były straty Rosyan — według zeznań wspomnianych oficerów — bardzo krwawe.

W rosyjskich kołach wojskowych obliczają, że z dwóch milonów żołnierzy, którzy stanowili siłę armii rosyjskiej na początku obecnej ofenzywy, należy czwartą część, to znaczy około pięćset tysięcy żołnierzy umieścić na liście strat.

Z jakiem bezprzykładnem marnowaniem materyału ludzkiego prowadzi kierownictwo armii rosyjskiej tę ofenzywę, zaznaczały to już niejednokrotnie urzędowe komunikaty i sprawozdania korespondentów. Wymowny obraz tej rzezi Rosyan daje zamieszczony w pismach za zezwoleniem wojennej kwatery prasowej opis walk nad Strypą, w którym czytamy między innemi.:



Z życia prowincyi: Wojenny rower, odznaczony I nagrodą na festynie Towarzystwa opieki nad ubogą młodzieżą w Jarosławiu. (Fot „Polonia“, Jarosław)

„W potoku roztopionego żelaza, lawy granatów i szrapneli, bomb i min, stał zachodnio-galicyjski pułk góralski dnia 11 czerwca od świtu, jak skała — niewzruszenie. Huk, świst, ryk salw dział i kul, fontanny czarnych słupów ziemi i obłoki dymu, strzały i tyrkotanie karabinów maszynowych trwały blisko dziesięć godzin bez przerwy. Moskale skierowali główny atak na batalion pierwszy, wzmocniony innemi siłami. Na przestrzeni jednego kilometra rzucili Moskale do wściekłego ataku dwa pułki. Gwałtem chcieli linię przerwać.

Górale nasi od czterech dni bez snu, bez jadła i kropli wody, w potopie kul stali niewzruszenie na pozycyi. Lufy parzyły w ręce, oficerowie przebiegali linię od końca do końca, zagrzewając żołnierzy. Lud nasz żołnierski śpiewał: „Kto się w opiekę“, „Serdeczna Matko“... i bił. A fala Moskali gęsta, czarna, zbita, szła i szła prawie na trzysta kroków i kładła się pokotem. Kapitan oddziału karabinów maszynowych, Bordek, na koniach w sam ogień znosił amunicyę do maszynowych karabinów, które zmiatały straszliwą kosbą nieprzeliczone tłumy rosyjskie.

Nadporucznik Dokladal zrywa się na lewem skrzydle do ataku, a tu już ręce wszystkim mdleją, gorąco, spiekota, piekło — piekło straszliwe. Na prawem skrzydle do oddziału karabinów maszynowych chorążego Wł. Mazura zbiegają się oficerowie Burakowski, Schindler, Prószyński i wraz z ludźmi zamiast maszyny, palcami ładują patrony w gurty, a komendant Mazur, jego zastępca Obrzut formalnie zmiatają, kto się na trzysta kroków przybliży. Pięć razy idą Moskale do ataku, pięć razy zionie w nich dzielna artylerya, zasiewa gradem kul infanterya i oddział II karabinów maszynowych.

Tak strasznie wojsko rosyjskie było przerażone polem śmierci, że wszystkie rezerwy, które dochodziły w bój, z góry poddawały się, rycząc o miłosierdzie. Już i infanterya przestała strzelać, a fala Moskali idzie i idzie pod nóż artyleryi i karabinów maszynowych, nie wierząc, że się Moskale tak masowo poddają. Stopniały całe dwa pułki rosyjskie.

Nabrano około trzy tysiące jeńca. Na pobojowisku legło mnóstwo rannych i zabitych, których straszny jęk rozlegał się długo w noc całą i cały następny dzień. Wojska posunęły się naprzód, okopały się i zasnęły wśród trupów, rzężenia konających, spazmów i płaczów.

Trzy dni i trzy noce znosi się rannych Moskali, takie są ich masy, a na grzebanie trupa jeszcze niema czasu. Zwłoki leżą ze straszliwemi maczugami, nabijanemi gwoździami, w ręku.

Straszliwy widok przedstawiają ranni. Niema też trupa, któryby nie miał w sobie kilku kul. Było to prawdziwe żniwo śmierci...“





Na wschodnim froncie:

Masowy grób oficerów i żołnierzy 17. pułku obrony krajowej pod Komarowem. — Pozycye zatopione przez wylew Styru.

Z życia prowincyi.

Za przykładem innych miast galicyjskich poszedł i Jarosław, gdzie w tych dniach odbyła się piękna uroczystość odsłonięcia tarczy Legionów. W uroczystości tej wzięli udział przedstawiciele miasta i instytucyj oraz liczne tłumy publiczności. Dochód z wbijanych gwoździ już w pierwszym dniu przyniósł pokaźną sumę na humanitarne cele legionowe.

Z uroczystości tej umieszczamy w dzisiejszym numerze zdjęcie, przedstawiające moment przed odsłonięciem tarczy oraz drużynę skautek, biorących udział w uroczystości.

Jarosław, który tak chętnie i z takim zapałem złożył dań Legionom, niemniejszą okazuje ofiarność na polu filantropii. Wyrazem tego było powodzenie, jakiem cieszył się festyn na rzecz Towarzystwa opieki nad ubogą młodzieżą. Liczne tłumy wzięły w nim udział, aby poprzeć piękny cel i spędzić miłe kilka godzin wśród zabawy i licznych atrakcyi.

Z festynu tego zamieszczamy w dzisiejszym numerze odznaczony pierwszą nagrodą wojenny rower.



Na wschodnim froncie: Wylew Styru.

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

12

Nie wiele tego jest, ale przydać się może. Potem rozebrawszy się szybko, rzuca się z uczuciem zadowolenia na łóżko! Już teraz wypocząć może! Sen obejmie go silnie w swoje ramiona i da zapomnienie i spokój!

Ale nie będzie to sen zdrowy, wywołany gwałtowną potrzebą wyczerpanego organizmu! Gerard de Lambriere nie obudzi się już z niego nigdy, bo tam za ścianą czuwa nad nim czcigodny ojciec Nataniel Bodminster! W oczach jego bezbarwnych błyszczy ogień zwycięstwa i tryumfu! W jednej ręce trzyma browning nabity, w drugiej zaś niewielki rozpylacz, wypełniony zabójczym płynem.

Już on dołoży wszelkich starań, aby sen barona Gerarda de Lambriere był głęboki i nieprzerwany.

Dyamenty znikają, ale Versigny pojawia się.

Aresztowanie Edyty Brown, alias miss Hopkins, nauczycielki Michaliny, o której policya angielska zebrała nadzwyczaj ciekawe informacye, datujące się jeszcze od dokonanej zbrodni w Chelsea — poprzedziło na krótko aresztowanie jej brata Winnifreda, uchodzącego za ojca Nataniela Bodminster.

Ajenci pana Cambaux, którzy śledzili go po wyjściu z Central-Palace, mieli plan już ułożony. Kiedy Winnifred Brown wskoczył do przejeżdżającego automobilu, użyli drugiego, który dyskretnie podążał za nimi i pospieszyli za nim. Brown dążył do swojej kryjówki w Chelles. Tam wywiązała się pomiędzy nim a detektywami krótka i zacięta walka, z której ci ostatni wyszli zwycięsko, dzięki pomocy oczekujących ich już na miejscu kolegów.

Następstwem tego aresztowania było odnalezienie zwłok Włodzimierza Guzowa, zakopanych w polu, których identyczność stwierdzono bez trudności.

Koszyk, w którym te zwłoki przewiezione zostały, wytrychy różne, aparat z chloroformem i wiele innych jeszcze rzeczy — wykazały dostateczne dowody zbrodniczych machinacyi Nataniela Bodminster.

Najbardziej kompromitującym był portfel z biletami wizytowymi barona Gerarda de Lambriere, zawierający dwakroć sto tysięcy franków.

W mieszkaniu zaś pana Versigny'ego, w pokoju zajmowanym przez miss Hopkins, przeprowadzone śledztwo wykazało ukrycie zeszytu w szarej oprawie i owego oświadczenia Jeroma Versigny'ego, napisanego przez niego przed udaniem się na spotkanie z sir Archibaldem Graves. — Bankier bowiem w ostatniej chwili, pełny ufności i wiary, zaadresował kopertę do nauczycielki swej córki.

List ten poza tem, że tłumaczył jasno wartość osławionego zeszytu, dawał pierwsze informacye o zniknięciu bankiera. Czarny automobil kryty miał dnia 14 go lutego oczekiwać o godzinie trzeciej po południu w alei Akacyowej, naprzeciw pawilonu d'Armenonville.

Jerome Versigny w tym czasie i w tem miejscu musiał się spotkać z sir Archibaldem Graves.

Bez trudności skonstatowano, że szoferem owego automobilu był Bob, kamerdyner „króla dyamentów" i wyszukano go wkrótce.

W tych wszystkich nowych odkryciach Bernac znalazł potwierdzenie swojego przypuszczenia: Miss Hopkins i Nataniel Bodminster operowali na swoją rękę, bez porozumienia się z sir Archibaldem Graves.

Co najwyżej list Versigny'ego odkrył im egzystencyę szarego zeszytu, co spowodowało zamordowanie barona de Lambriere.

Ale właściwie w pensyonacie „Europa" musiał czcigodny ojciec Nataniel Bodminster wpaść na trop odkrycia dokonanego przez Włodzimierza Guzowa, w czem odnalazł dla siebie korzyść jawną.

Bernac jednak nie był zadowolony, że zmuszony był dojść do tej konkluzyi.

Byłby wolał przekonać się ostatecznie, że Edyta i Winnifred Brown byli na żołdzie sir Archibalda Graves i działali według jego wskazówek. Bo w ten sposób, mając już w rękach niebezpieczną parę, mógł wpaść na ślad kryjówki, gdzie trzymano w uwięzi bankiera Versigny'ego. Tego Bernac żałował, bo badając ściśle Edytę i Winnifreda Brown z pomocą Clemsona mogli się wkońcu dowiedzieć czegoś konkretnego. — Nie tracił jednak nadziei, że przecież w śledztwie wykryje się coś w tym kierunku.

I rzeczywiście jednego dnia Cambaux przyszedł mu powiedzieć, że Winnifred Brown pragnie z nim mówić sam na sam i choć widzenie się z więźniem było utrudnione, zważywszy jednak na oficyalny charakter działania jego w tej sprawie — otrzymał pozwolenie i udał się na wezwanie oskarżonego.

Trzymany był w osobnej zupełnie celi, pod ścisłym bardzo dozorem.

Popchnięty do wyznań dziwną jakąś fanfaronadą i okazaniem się w oczach tego amatora-detektywa za niezwykłego i interesującego, Winnifred Brown przystąpił do drobiazgowego objaśniania swoich czynów i motywów, które go do nich popchnęły.

Usposobienie jego było z gruntu jowialne i wesołe. Aresztowanie więc swoje przyjął dosyć pogodnie i lekkomyślnie.

Ale nie tylko uczucie próżności pchało Browna do oskarżenia się wobec Bernaca. Chciał również zaspokoić piekącą go ciekawość.

Kiedy skończył swoje opowiadanie, zapytał nagle, bez przygotowania:

— Panie Bernac! Niech mi pan odpowie? To pan mi skonfiskował te trzy dyamenty?

— Jakie dyamenty? — odparł zdziwiony Bernac — Nie wiem o żadnych dotąd!

— Ależ te trzy sztuczne dyamenty, wykonane przez Włodzimierza Guzowa, które, jak wspomniałem panu przed chwilą, znalazłem ukryte w jego pokoju pod materacem łóżka! Zabrałem je stamtąd i zaniosłem do mojej kryjówki w Chelles.

— Nie wiedziałem o ich istnieniu! — odparł poważnie Bernac — Jakże więc mogłem je zabrać panu?

— Naprawdę? Nie oszukuje mnie pan? I nikt z pańskiego otoczenia nie wiedział nic o nich! Ani pan Cambaux, ani panna Versigny?

— Zaręczam panu słowem honoru, że mówię prawdę!

— No, to wierzę panu! Doprawdy zniknięcie tych kamieni staje się coraz więcej niewytłumaczone.

— Niechże mi pan powie, co się stało właściwie?

— Stało się, że w tydzień po wypadku Włodzimierza Guzowa chciałem się przekonać, czy brylanty są zawsze w ukryciu, gdzie je złożyłem. Otóż nie znalazłem ich. Natychmiast uwiadomiłem o tem starą, to jest siostrę moją Edytę. Utrzymywała, że nie szukałem dobrze, że może umieściłem je pod inną deską podłogi. Dla uspokojenia się, chociaż wiedziałem doskonale, że nie mogłem się pomylić, udałem się tam raz jeszcze i zdarłem wszystkie deski. Wszystko naprózno... Nie poszczęściło mi się przy tej robocie, bo właśnie w ten czas, zaraz po powrocie moim do Chelles, pochwycono mnie...

— A może sama siostra pana, skoro wiedziała o kryjówce, mogła...

— Oh! nie, nie! — przerwał Winnifred Brown — Ona by się nie ośmieliła postąpić ze mną w ten sposób. Zresztą nie opuszczała nigdy panny Versigny... czasem tylko na krótką bardzo chwilę.

— A czy może pan być pewnym, że nikt nie widział pana chowającego te kamienie do skrytki?

— Oh! zupełnie pewny!

— To rzeczywiście szczególne! — szepnął Bernac.

Wiadomość ta zaintrygowała go silnie. Zapytywał się, czy inni wspólnicy zbrodni, nieznani i nie podejrzywani, nie okażą się jeszcze, komplikując dosyć już zawikłaną sprawę.

Bernac wyszedł z celi więziennej Winnifreda Browna zamyślony bardzo i zajęty nowym problemem do rozwiązania. Przypuszczał bowiem, wobec nieodgadniętego zniknięcia brylantów, że to nie koniec jeszcze odkryć i poszukiwań jego.

Ale kilka dni upłynęło, nie przynosząc ze sobą nic godnego uwagi.

W czasie tym Michalina, która czuła się bardzo osamotnioną i opuszczoną w obszernem mieszkaniu ojca — spędzała tam tylko noce, a resztę czasu poświęcała Bernacowi i panu Cambaux. Wszyscy troje trawili długie godziny nad zastanawianiem się, dociekaniem coraz bardziej gorączkowem i szukaniem śladu czarnego automobilu, Boba i sekretarza Johmy Willsa. Ale napróżno!

Bernac chwilami odczuwał silne zniechęcenie i brak wiary w siebie.

Raz nawet, w ciągu rozmowy z Michaliną, zwrócił się do niej z gorzką uwagą o sobie:

— Widzi pani, panno Michalino, jaki nędzny ze muie detektyw. Właściwie nie doszedłem do żadnego rezultatu w tej sprawie. Najważniejszy zaś zawdzięczam pani, bo jeżeli zdemaskowaliśmy miss Hopkins, to tylko dzięki zręczności i przytomności umysłu pani.

Ale młoda dziewczyna kilkoma słowami potrafiła powrócić mu energię i odwagę; wiedziona instynktem wiedziała, jakich argumentów użyć, żeby go przekonać i podniecić do dalszej walki.

Dzień każdy razem przebyty zbliżał ją do Bernaca i dopomagał do poznania jego czystego charakteru, braku próżności i wysokiej inteligencyi.

Obok tego sympatycznego człowieka, energicznego i łagodnego zarazem, którego jasne, szczere oczy obejmowały ciepłem spojrzeniem, czuła się szczęśliwą i bezpieczną, wiedząc, że nic złego grozić jej nie może. I pomimo głębokiej boleści, której doświadczała przez stratę ojca, jakaś nowa, nieznana radość wstępowała w nią, wraz ze zbliżeniem się większem do tego oddanego i życzliwego jej przyjaciela.

A przytem pod wrażeniem nieoczekiwanego ciosu, który spadł na nią, Michalina zmieniła się bardzo. Nieszczęście ułagodziło za ostre cokolwiek rysy jej charakteru. Stała się więcej łagodna i milcząca.

I Bernac również odczuwał, że przeżywa teraz nową erę swojego życia. Cel pewny i jasny zajaśniał przed jego oczami i towarzyszył wszystkim jego czynnościom. Pragnął z całej duszy ujrzeć Michalinę szczęśliwą, a ospałość jego wysiłków i starań bolała go bardzo ze względu na nią właśnie.

Jednego dnia Bernac znajdował się w mieszkaniu Michaliny, kiedy u drzwi zajęczał dzwonek, targnięty niecierpliwą ręką.

W przedpokoju rozległ się głos, na dźwięk którego zadrżeli oboje.

I Versigny, Jerome Versigny we własnej osobie, trochę podstarzały i osłabiony, ukazał się na progu gabinetu.

Michalina krzyknęła głośno i podbiegła do niego.

Długą chwilę trwał niemy, serdeczny uścisk ojca i córki!

Nareszcie Versigny wyrwał się z objęć młodej dziewczyny, podszedł do Bernaca i uścisnął gorąco jego dłoń. Łzy radości i szczęścia błyszczały w jego oczach. W drzwiach gabinetu stała już skupiona i głęboko wzruszona służba, która przybiegła na powitanie dawno niewidzianego pana.

Kiedy pierwsze wrażenie minęło, posypały się gorączkowe zapytania i odpowiedzi.

Jerome Versigny zdawał się być uwiadomionym o wszystkiem, co się stało w czasie jego nieobecności.

Kiedy opowiedział im przebieg porwania i uwięzienia, dał im wyjaśnienia dalsze.

— Byłem strzeżony — mówił — w suterenach jakiegoś domu, o którym nie mam pojęcia, gdzie się znajduje. Przyznać muszę, że otoczony byłem wszelkiemi wygodami i komfortem — godnym sir Archibalda Graves.

Bob i Johmy kolejno pilnowali mnie, okazując mi względy pewne i usłużność niezwykłą. — Ale o wymknięciu się z mojego więzienia nie było co marzyć.

Całe dnie spędzałem na czytaniu dzienników, bo zaznaczyć wam muszę, że tak starano się o zadowolenie mnie, że codziennie na stoliku znajdowałem świeże dzienniki i książki najnowsze. Możecie sobie wyobrazić, jak skwapliwie odczytywałem wszystkie artykuły, odnoszące się do „sprawy Versigny". — Poza tem miałem do swojej dyspozycyi dobrze opatrzoną bibliotekę, z której korzystałem często.

— Ale — zauważył Bernac — ludzie ci mogli dowiedzieć się o śmierci sir Archibalda Graves zaraz nazajutrz po dokonaniu na nim zbrodni. Dziwi mnie więc bardzo, że w dalszym ciągu bez zmiany żadnej strzegli pana. Przez ostrożność względem siebie samych, mogli uciec, zabezpieczywszy się przedtem...

— Tak, ma pan słuszność. Mogli mnie bezkarnie zamordować i ulotnić się następnie. Sam sobie długo zadawałem to pytanie, nie mogąc na nie znaleźć odpowiedzi.

Przypuszczam jedno: Archibald Graves, którego czcili jak Boga, musiał im pozostawić rozkaz kategoryczny. Oni go wypełnili bez zastrzeżeń, nie licząc się z tem, że pan ich już nie żyje.

— W takim razie musiał im zabronić użycia wszelkich środków ostatecznych.

— Zapewne.

— Ale jakże pozwolili na ucieczkę twoją, ojcze? Jak się to stało? — pytała Michalina.

— Nie uciekałem wcale. Wczoraj wieczorem musieli jakiś nasenny środek wsypać do mojego pożywienia, bo natychmiast usnąłem głęboko, a dziś rano przebudziłem się w gąszczu lasku bulońskiego — niedaleko właśnie pawilonu d'Armenonville, tam, gdzie rozpoczęły się moje przygody. Pamiętne to będzie miejsce dla mnie.

— Ach, ojcze! — szepnęła Michalina — To

przecież straszne, to wszystko, cośmy wszyscy przeżyli przez te kilka tygodni. Chwilami wydaje mi się snem tylko.

— Bo teraz musimy zapomnieć o tych nieszczęściach, dziecko drogie i żyć radosną chwilą obecną.

W tej chwili w drzwiach gabinetu stanął Cambaux, nie wiedząc o niczem. Zdumienie jego na widok Jeroma Versigny'ego było nie do opisania. Stał minutę w milczeniu, nie mogąc słowa przemówić i patrzał rozszerzonemi oczyma na bankiera, jak gdyby ujrzał widmo.

— No i cóż, panie Cambaux, nie poznaje mnie pan? — zaśmiał się Versigny.

Pytanie to przywróciło mu przytomność umysłu. Powitał serdecznie nieoczekiwanego gościa, który raz jeszcze musiał powtórzyć swoje wyjaśnienia.

Cambaux słuchał uważnie, a kiedy Versigny przestał mówić, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Domyślałem się, że tak będzie! — rzekł wyciągając z kieszeni numer „Daily Mail". — Przeczytaj to, Bernac!

— Co to jest?

— To jest przedruk testamentu sir Archibalda Graves, który przedwczoraj otworzono w Londynie. „Król dyamentów", który hojnie uposażył swoich współpracowników i poważną sumę przeznaczał dla ubogich — prosił o przebaczenie wszystkich tych, którym kiedykolwiek wyrządził jaką krzywdę i błagał sukcesorów swoich, przyjaciół, a nawet służbę swoją o zadośćuczynienie według możności zła popełnionego.

— Temu testamentowi, ogłoszonemu przez wszystkie pisma światowe — rzekł Cambaux — zawdzięczamy zapewne powrót pana, panie Versigny. Bob i Johmy Wills, natychmiast po zaznajomieniu się z pośmiertną wolą ich pana, postanowili wykonać ją i zwrócili panu wolność.

— Tak, to było powodem mojej wolności! — odparł Versigny — Wkońcu przyznać musimy, że ten Archibald Graves nie był jeszcze najgorszym człowiekiem.

— A teraz — zawołał wesoło Cambaux — pan stanie się „Królem Dyamentów", panie Versigny.

— Kto to wie?

— Jak to? Kto to wie? Czyżby wynalazek Włodzimierza Guzowa nie przedstawiał żadnej wartości? Sądziłem dotąd przeciwnie i powątpiewanie pana zadziwia mnie?

Versigny uśmiechnął się i odparł, zwracając się do Bernaca:

— Powiedział mi pan przed chwilą, kochany przyjacielu, że ten Nataniel Bodminster zauważył niewytłumaczone zniknięcie tych trzech, ukrytych przez niego kamieni, które wykradł nieszczęśliwemu Guzowowi.

— Tak jest. Zniknęły rzeczywiście.

— Przypadek ten tłumaczę sobie jasno. Podczas mojego przymusowego więzienia czytałem dużo. W bibliotece sir Archibalda Graves znalazłem wiele dzieł, traktujących o chemii i składnikach brylantów. Zdaje mi się, że rozumiem teraz dobrze, co się stało z tymi kamieniami. Słyszał pan zapewne o procesie rozkładania się ciał. Bez żadnej przyczyny chemicznej składniki pewnych ciał zwartych, czy też gazowych, w pewnych niesprzyjających warunkach — ulatniają się, zamieniwszy się w gazy i atomy nieuchwytne.

Otóż przypuszczam, że brylanty nie zostały skradzione, lecz poprostu rozpłynęły się w powietrzu. Tego nie mógł przewidzieć Włodzimierz Guzow. Wynalazł, co prawda, sposób fabrykowania dyamentów — ale dyamentów nietrwałych — rozumiecie?

— Pan może ma słuszność, panie Versigny — odparł po chwili namysłu Bernac — Zniknięcie kamieni wzięliśmy pod dobrą krytykę i nie znaleźliśmy żadnego motywu wyjaśniającego. Ten jest bardzo możliwy.

— Zbadamy tę rzecz dokładniej jeszcze — rzekł Cambaux, kiedy raz jeszcze przejrzymy zeszyt w szarej oprawie. Ale to wielka szkoda! Byłem tak głęboko przejęty tem kolosalnem odkryciem.

— A mnie jest to obojętne! — zawołała Michalina — My i bez tych dyamentów możemy być szczęśliwi — nieprawdaż, ojcze?

Versigny z rozczuleniem spojrzał w rozpromienioną radością twarz córki i odezwał się po chwili żartobliwie:

— Zdaje mi sie, moja mała Michalino, że ty nie czekając na mnie, poszukałaś już szczęścia swojego. Jestem tu od godziny zaledwie, ale wyczułem już instynktem serca, że coś, czy ktoś odmienił mi bardzo moją córkę. Czy mylę się, panie Bernac?

Na to Bernac podszedł szybko do Versigny'ego i silnie uścisnął jego rękę. Michalina zaś nagle zmieszana, szybko wybiegła z pokoju.

KONIEC.

JÓZEF LASOŃ.

Przy kominku żołnierskim...

(Z cyklu: LEGIONY).

Kucharz ze „Schweiz" właśnie zakończył rozbieranie mięsa na dzień jutrzejszy, zatłuszczone dłonie wytarł w wióra, poczem wyciągnął się wygodnie na deskach, służących mu za łóżko. Jest to typ prawdziwego kucharza wojny: osmolony na ciele i ubraniu tłuszczami i sadzą, dymem nieustannym kuchni. Tłumaczy, że nie opłaci się co dzień myć, jedno, że o wodę trudno, trzeba kilka kilometrów do rzeki po nią jeździć — zatem szkoda ją bezużytecznie marnować — powtóre „kucharz musi być czarny" przy takiej robocie. Średniego wzrostu, krępy, czterdziestka co tylko minęła, o regularnych rysach twarzy, szklących piwnych oczach i sumiastych wąsiskach, czarnego koloru, zatem brunet — jednakże, dopiero po dokładnem wymyciu się, staje się blondynem. Niby kameleon — zmieniający barwę.

Natura chłopska, małomówna, zato przy wywnętrzaniu się szczera i snująca chłopską, zdrową filozofię myśli. Emigracya wypędziła go z ojczystych stron — na długie lata tułaczki i pracy u obcych, wkońcu osiadł na stałe w Szwajcaryi, przylgnął i do stosunków tamtejszych i ziemi, stąd też każde porównanie o Polsce prowadzi, wskazując na „Schweiz".

Gdy wojna wybuchła, rzucił „Schweiz", zaciągnął się pod sztandary Legionu, bił się jako żołnierz, wkońcu od kilku miesięcy „berło" kuchmistrza zaczął dzierżyć. Stwiardniało mu tylko serce przy tej nowej misyi, nie chce wydawać podwójnych porcyi niektórym Legionistom, mającym wieczny apetyt na cudze porcye, no i wojną, rzekłbym już, przesycony. Marzy o „Schweiz", jak o obiecanym raju, do którego po wszystkich niedolach żołnierskich popłynie.

Nałożył fajkę tytoniem, z piecyka drewno jarzące się włożył i do skupionych koło ogniska Legionistów przemówił:

— Żeby to Polska taka była jak „Schweiz".

Poruszyła go bowiem rozmowa kolegów, pół polityczna, pół tęskniąca do Wolnej Ojczyzny, byłby jednakże biernym świadkiem tej dyskusyi pozostał, gdyby ktoryś z dyskytujących nie utknął na Szwajcaryi. Zatem poruszono mu struny chłopskiej duszy — zamierzony spoczynek odłożył. — Mówią o „Schweiz", nie może pozostać bierny, musi o tej drugiej ojczyźnie choćby parę słów rzucić, bo on tam był i ukochał ten kraj.

— Inni tam ludzie, niż u nas w Polsce. Byłem u fabrykanta, to nieraz razem my przy stole siedzieli, rękę podał, nie wynosił się nad robotnikiem, nie pogardzał nim, tylko jak z równym sobie gadał. A w mieszkaniu naszem to córka właściciela fabryki sama porządki robiła i doglądała, czy czysto jest i nie potrzeba nam czego! A choć to bogaty pan był. Czterysta ludzi u niego pracowało! A u nas w Polsce co? Cholera!...

Ostatnie słowo, to ulubione kuchmistrza ze „Schweiz" wyrażenie, którego ciągle używał. Było to u niego, jakby szlacheckie „panie dzieju", „panie święty", „wasan", „waćpan". Ta „cholera" zjawiła się na ustach kucharza ze „Schweiz" dopiero podczas wojny, gdy złość go ogarniać poczęła, czy na los swój, czy na Ojczyzny, wreszcie na kolegów, którzy go rozgniewali, lub psotę mu wyrządzili.

Powoli wyraz ten przeszedł w nawyczkę i kończył zdanie wypowiedziane, jak w pacierzu „Amen".

„Schweiz" została poruszona, zatem kucharz zabrał głos, rozwodząc się nad ustrojem, demokratyzacyą społeczną, wychowaniem pokolenia, które od najmłodszych lat w strzelbę się wprawia, że mu nie dorówna najlepszy żołnierz Legionu, warunkami ekonomicznymi i t. d.

— Ludzie żyją w zgodzie, wolności nigdy nie zatracą — puszczając kłęby dymu, rozwodzić się począł — i gdybyśmy tak umieli dzieci wychowywać i tak żyć w zgodzie, jużby dawno z Polski była „Schweiz". A tak, co? Cholera... Dość jest nas garstka tylko w szeregu, a i tak się żremy między sobą. I jakże może być „Schweiz"?... Cholera!...

Splunął na ziemię, krzywiąc usta, jakgdyby gorycz wstrętnego tytoniu, lub słów wypluł, które jeszcze palą usta, czy też serce.

— Że tam jeden z drugim się pokłóci o byle głupstwo — zbijać poczęli wywody kuchmistrza — to jeszcze nic strasznego. Młodość i miłość sobie się czubić! — Wołają na siebie wzajem: „Ty parasolniku", „ty biskupie", ale to wszystko żarty. „Parasolnik", to nazwa żołnierzy pierwszej brygady, przedwojennych strzelców; „biskup", to znów trzeciej brygady — gdyż mają czapki, jak infuły biskupie! Nas znów „oddaj rum" — toć to wszystko przecież żarty — a nic innego, najlepszy dowód, że żyjemy przytem na linii w zupełnej zgodzie!...

— E, nie o tem mówię, cholera! — odparł kucharz, zniechęcony, że pojąć go nie mogą i umilkł, układając się na deskach.

Wypowiedział swój artykuł wstępny pogadanki wieczornej, zakończył sakramentalnem słowem „cholera" i zamilkł, obojętny na dalszą dyskusyę słuchaczy, komentujących jego zdania i słowa. — Rzucił słowa, jak dziennik we wstępnym artykule, nie troszcząc się, jaki ferment wprowadzą one wśród czytelników, z dyskusyi przygotowując materyał na następny numer — pogadanki wieczornej...

„Meldereiter" batalionu z miną sprawozdawcy komunikatów wojennych urzędowych biur głosił:

„Popołudniu podeszła silna patrol rosyjska pod trzeci batalion trzeciego pułku, zabrała telefonistę do niewoli, natrafiwszy na naszą patrol, rozpoczęła strzelać. Kilku było rannych, jeden z Legionistów, dostawszy się do niewoli, prowadzony przez sześciu Moskali, którzy mu broni nie odebrali, nagłym rzutem kolbą karabinu zabił Moskala i rzucił się do ucieczki. Moskale poczęli za nim strzelać — jednakże udało mu się ujść niewoli i do swoich wrócić".

Jednakże „meldereiter" dostaje naganę, gdyż o tym wypadku już wiedzą, a następnie sprawa przedstawiała się trochę inaczej, przeszedłszy przez kilka ust komunikatów wyrosła i rozfantazyonowała się. Nacierają mu uszu, robiąc poprawkę komunikatu, zmienionego tylko co do tego jednego, który zdołał ujść!

„Patrol rosyjska, cofając się — niestrudzony „meldereiter" mówi dalej — zapowiedziała na dzień jutrzejszy ofenzywę na naszym froncie".

— Mówili to już ze trzydzieści razy ich koledzy, dostawszy się do niewoli — dają się słyszeć głosy drwiące, które jednakże nie wyprowadzają niestrudzonego sprawozdawcę z równowagi, sądzi, że przecież rzuci choć jeden komunikat, za który zyska pochwałę i uznanie! Głosi przeto dalej:

„Podczas wczorajszego bombardowania W., którego byliście świadkami, zabity został jeden z trenarzy, jadąc do pułku"...

— Wiemy już, wiemy — przerywają mu głosy, które rubasznością zbijają go z tropu i ucicha, siadając przy piecyku. Ustąpił mównicy dalszym. — Usiadł z miną kiepskiego i przestarzałego komunikatu, umieszczonego w dzienniku pod świeżą datą. Koledzy przyjęli go, jak takiż komunikat — wobec czego dziennik jego traci na popularności i wzięciu...

Feljeton opowiada dzieciak, któremu młodzieńczy puch dopiero przy kuchni się pokazał, gdy sadze go cośkolwiek lekko przyprószyły i o iskrzących oczach awanturniczych, oczach dziecka-śmiałka, które jeszcze nie pojmuje zgrozy śmierci i wartości życia i przez to je często niepotrzebnie naraża. Lśnią mu się oczy do tych „szopek", które go w oczach wszystkich kolegów podnoszą i gotów głowę do armaty wsadzić, byle tylko widzieli koledzy. Nie zdaje mu się nigdy, że każda taka błahostka życie go może kosztować.

Opowiada o zakładach... Kto w rowie lub okopie podczas gradu kul wytrzyma stać umówionych parę minut, wygrywa zakład. Sam parę razy wygrał i gotów się zawsze zakładać — jednakże przez komendę zostało to zakazane, wobec czego z żalem

wspomina o tych chwilach. Dalej, jak wśród ognia artyleryi po ostrzeliwanym terenie gonił i gdy pocisk wybuchł, zbierał aluminiowe „zegarki" pocisku, z których robił pierścionki pamiątkowe. „I o mało raz mnie nie zabiło" — mówi z miną żaka szkolnego, przynoszącego do domu zły stopień.

Kończy opowieścią wzbudzającą śmiech, jak kolega jego wybrał się z nim na połów aluminiowych „zegarków" i znalazł piętnastocentimetrowy pocisk, który, upadając, nie eksplodował, wrył się tylko w ziemię. Wiedział o tem dobrze, gdyż nasi komendanci wciąż ostrzegali, że pocisk musi poleżeć parę dni nienaruszony, zanim igła środkowa od ziemi nie zawilgnie i rdzą się pokryje, poczem dopiero można rozdzierać nabój, z zachowaniem wszelkich środków ostrożnościowych. Ba, ale co im tam gadać! Oni już umieją, wiedzą, jak się z tem obchodzić. Więc kolega pocisk wygrzebał z ziemi, wziął pod pachę, jak cielaka i idą do kompanii. W drodze natrafiają na oddział austryacki, którego oficer zatrzymuje ich i pyta, skąd pocisk.

— Strzelali, upadł, bierzemy go rozebrać!

Oficer zwymyślał ich za lekkomyślność i kazał wrzucić pocisk do bagna, dając im eskortę swoich żołnierzy, aby nie było wypadku.

— Maszerują wokoło nas w przyzwoitej odległości — śmieje się feljetonista pogadanki wieczornej — starzy pospolitacy i dusza im na ramieniu siedzi. Nieśliśmy naprzemian. Za każdą zmianą pospolitacy odsuwali się na przyzwoitą odległość, wreszcie dochodzimy do jeziora. Pospolitacy o trzysta kroków od nas, a jeden krzyczy, by wrzucić do wody, poczem szybko padnąć na ziemię i za wzgórze się skryć. Kolega rzucił, ale, mimo rady pospolitaków, ciekawość nas brała, jak to we wodzie wybuchnie i może niedaleko gdzie „zegarek" upadnie.

— I cóż się stało? — pytają ciekawie.

— Nic, pocisk wpadł w bagno jak cielak, nie eksplodował. Rozglądamy się za pospolitakami, a jeno chmury kurzu wskazywały, że dopełniwszy rozkazu, biegiem podążyli zdać raport komendantowi.

— Bardzo im się spieszyło! — śmieją się słuchacze — zapraszając feljetonistę do piecyka.

Kronikę prowadzi kilku naraz, co tam kto skręcił, dostał karę, kto ubył lub przybył, służba jaka czeka — słowem cały los żołnierski w kronice tej wysłowiony bywa. Dziś kronika ożywiona, wróżby o zmianie terenu, o jakichś wieściach ze świata, które sercem ściskają z wesela.

— Wiecie? — prowadzi rozmowę jeden ze słuchaczy, z rozognioną twarzą — mamy jechać na „Hinterland" i tworzyć armię polską, gdyż...

— Co? Jak? Gdzie? — głosy się podnoszą, gdyż wiadomość ta, z serca wyrwana, rozgrzewa krew, rozpala miłość Ojczyzny.

Okazuje się, że „wróżbita" coś, gdzieś slyszał, że dzwonią, ale nie wie, w jakim kościele, zatem pewne niezadowolenie i niewiara w żadne wróżby i nadzieje, póki się coś realnego nie uchwyci.

Skończyła się ożywiona kronika, już jakiś „łapiduch" ostatnie chwile opowiada zabitego w boju kolegi, pytają go chytrze, czy on go pochował, zatem może ma zegarek po nieboszczyku do sprzedania, lub parę dobrych butów, co „łapiducha" wyprowadza z równowagi i kłócić się poczyna, odcinając się kolegom złośliwie. Wiedzą wszyscy, że to figle, jednak sanitaryusz zgniewany jest za posądzenie, no ale cóż winna młodość, że figlarną jest — tłomaczą mu wkońcu.

Drzwi raptownie się otworzyły, kilku żołnierzy z hałasem i krzykiem ziemiankę kucharza ze „Schweiz" obsiadło.

— Jak się macie, urlopniki?

— Skąd droga łaziki? — witają ich głosy radosne, spragnione nie tak samego widoku kolegów, jak wieści ze świata.

To już nadzwyczajny dodatek żywego dziennika żołnierskiego.

Krzyżują się pytania bezładne, stolice, miasta, wioski, skąd „łaziki" przybyli, żywo bywają omawiane, słowem, nadzwyczajny dodatek poruszył publiczność do głębi i każdy chwycić chce dla siebie choć parę słów.

Przybyła wieczorna poczta ciszy, na chwilę wrzawę — misterya się teraz odbywają, odczytywanie słów pisanych, przybyłych z różnych stron od ukochanych. Oblicza smutkiem się pokrywają lub weselem — zależnie, co kartki i listy zawierają.

Potem żywsza już dyskusya, bardziej bezładna. Wszyscyby chcieli naraz swoje smutki, radości, myśli wysłowić — i jak ma się dojść z tym do ładu?...

Późna już noc...

Szum lasu, niby wodospadu spływ, słyszeć się daje raz silniej, drugi raz przycicha, lub miesza się z wystrzałami karabinów i armat z różnych stron...

Już i kucharz ze „Schweiz" w całym rynsztunku swoim osmolonym wyciąga się na deskach twardych, sennie mrucząc do skupionych koło kominka:

— Idźcie-ta spać cholera, o czwartej rano muszę wstać, dość się już pyskami naklepaliście, cholera.

Prostuje się, jak nieboszczyk na marach, sen nim owładnął, mruczy urywane słowa pod nosem:

„Żeby to Polska była — jak Schweiz".

Ogień przygasa...

Żegnają się wzajemnie, przepowiadając co tam w nocy może nagle wypaść, czy nie będzie bombardowania artyleryi — i spać będą mogli spokojnie.

Wreszcie wychodzą...

Coraz ciemniej w ziemiance! Ogienek jak lampka oliwna, dopalając się w skalnej grocie pustelnika, tkwi jeszcze, trzęsie... kona, jak żywot ludzki, uciekający z ciała podziurawionego kulami, aż wreszcie prysk ostatni i zagasa...

Idzie ciemna noc, może ostatnia niejednego z nas, może ostatnia nasza... Gotowiśmy — czy kula ciało przewierci, czy granat z ziemianki grób uczyni i nas pogrzebie... gotowiśmy... bo za Wolność...

— — — — — — — — — — — —

Ot, i żywy dziennik żołnierski — przy kominku wieczornym.

Nie jest ci on, ani z góry obmyślany, ani w artykułach porządkiem umieszczony — tylko trzeba się w te bezładne słowa uważnie wsłuchać i w ramy „dziennika" wkroić... zrozumieć te wszystkie tęsknoty i pragnienia.

Zatem nigdy się z Wami i Polską nie rozłączamy, mimo, że raz w pustynnej Bessarabii, śnieżnych Karpatach — drugi raz w puszczach i bagnach Wołyńskich i Bóg wie gdzie jeszcze — gdyż wieczną prawdą jest:

Że nie odległość człeka oddziela — lecz myśl!"

Stanowisko drugiej brygady... 14 marca 1916.



Z polskich pobojowisk: Szczątki zbombardowanego domu w Gorlicach.

Kronika tygodniowa.

Rada miejska krakowska rozpoczęła już na dobre urzędowanie. Odświeżono nieco jej skład, powołując nowych członków w miejsce zmarłych i tych, którzy dobrowolnie ustąpili, wybrano też prezydyum, będące głową tego autonomicznego ciała. Wiadomo z anatomii, że głowa sama nie mogłaby się kręcić na wszystkie strony, gdyby nie miała szyi, ma też i owa autonomiczna głowa szyję, która nią kręci, ale tej wybierać nie potrzeba. Przechodzi ona wraz z inwentarzem z jednej rady na drugą, a lubi pozostać w ukryciu, by o niej wiele nie mówiono, a ona mogła robić, co jej się podoba... naturalnie tylko dla dobra miasta.

Wybory do prezydyum nie przyniosły nam żadnej niespodzianki. Fotel prezydyalny zajął, jak mu się to zresztą należało, ekscellencya Leo, choć każdy z radców twierdzi, iż i jemu byłoby tam bardzo wygodnie, ale jest zbyt skromny, by się o ten zaszczyt ubiegał. Przynajmniej na razie, bo nie ulega kwestyi, że przyjdzie kiedyś czas i na owego fiołka, wonie jącego gdzieś wśród autonomicznej murawy. Zastępcą pierwszym zamianowano pana Jana Kantego Federowicza, jeden z głównych filarów krakowskiej demokracyi, dotychczas prezesa Izby handlowej, drugim pozostał nadal radca dworu Sare. Trzecim wiceprezydentem wybrano na podstawie układu z Podgórzem inżyniera Rollego. Waknje natomiast fotel delegata Rady do prezydyum, który kto wie, czy nie zamieni się na kanapę, aby na niej dwu mogło znaleźć wygodne miejsce. W najbliższym czasie sprawa ta zostanie rozstrzygniętą i wówczas będziemy mieć prezydyum w komplecie.

Jak już poprzednio wspominałem, działalność Rady miejskiej napotka nieraz na przeszkody ze względu na wojenne czasy, sądzę przecież, że panowie rajcy wezmą się ostro do rzeczy i pokażą, iż są prawdziwymi ojcami miasta nie tylko myślą i mową, ale co najważniejsza także i uczynkiem, by kiedyś poeta opiewający działalność ś. p. Rady, skoro legnie już na wieczny spoczynek, nie potrzebował pisać, że „ino otręby, lecą jej z gęby".

Najważniejszą dziś kwestyą, godzącą nie tyle w serce społeczeństwa, ile raczej w jego żołądek, jest aprowizacya miasta, trzeba powiedzieć z każdym dniem trudniejsza. Jak dotąd, komisya aprowizacyjna, która w wojennym czasie zabrała się naprawdę do pracy i nie jest, jak to było przed wojną, tylko zebraniem raz na rok lub kwartał siedmiu braci śpiących, celem urzędowego pokiwania głowami i drzemki podczas odczytywania referatu, zdziałała bardzo wiele. Dzięki energicznym zarządzeniom mamy właściwie wszystko, czego nam potrzeba, może nie w tej ilości, co dawniej, w każdym przecież razie w wystarczającej do zaspokojenia nieodzownych potrzeb.

Prawda, że czasem brak tego lub owego artykułu, ale w tym wypadku wina nie komisyi aprowizacyjnej, ale najrozmaitszych centrali cukrowych, kawowych, spirytusowych i jak się one tam jeszcze nazywają,

Narzekamy wprawdzie na drożyznę, ale tak być musi, skoro produkcya najniezbędniejszych do życia artykułów jest obecnie ograniczoną, w każdym przecież razie jesteśmy jeszcze w lepszej skórze niż wielkie miasta na zachodzie,

Porównując te ceny z naszemi i dodając do tego jeszcze, że tamtejsze porcye są więcej eleganckie, to jest mniejsze, musi się przyznać, że u nas nie jest jeszcze najgorzej. Bo też Galicya jest krajem rolniczym i nawet dziś, w czasie wojny, gdybyśmy nie wywozili stąd tak wiele, mielibyśmy wszystkiego podostatkiem. Ale to znów bardzo pięknie, iż w biedzie dzielimy się po bratersku z tym, kto ma mniej. Oby on tylko uznał to i był nam potem za to wdzięczny!

Teraz dopiero otwierają się oczy Wiedeńczykom, iż nie mieli racyi, mówiąc: *Aus Polen ist nichts zu holen.* Dopóki *Polen* to jest Galicya, miała dużo, nie brakło też nic i Wiedniowi, codziennie zjeżdżały tam od wschodu pociągi z bydełkiem, jarzynkami, masełkiem. A wszystko było takie dobre, że paluszki lizać, co zaś najważniejsze, nie drogie. Wiedeńczycy jedli, ale stękali, że Galicya drogo ich kosztuje, bo znów zapomnieli, że stąd jedzie sól, nafta, węgiel, drzewo, cynk, żelazo i tym podobne materyały surowe, które, na zachodzie przerobione, wracają potem do swojego miejsca urodzenia, ale już po podwójnej lub potrójnej cenie.

Tymczasem przyszła wojna i sytuacya się zmieniła. Pokazało się, co dla monarchii, a głównie dla Wiednia znaczyła Galicya, dostarczająca tamtejszym żołądkom wszystkiego tego, co im do należytego funkcyonowania jest koniecznie potrzebne. Także i zachodni przemysł, pozbawiony galicyjskiego surowca, zaczął kuleć, co zaś najważniejsze, Galicya zniszczona pożogą wojenną nie mogła być już owym rynkiem łatwego zbytu dla tamtejszych przedsiębiorców.

Zaczęto więc wzdychać w stronę Galicyi i poznano się na jej wartości, choć może trochę późno. Ale zawsze lepiej późno, niż nigdy. Choć także i teraz jeszcze nie wszyscy, gdyż są naprzykład wiedeńscy architekci, którzy po długich naradach uchwalili, że przy ewentualnej odbudowie Galicyi należy im się siedmdziesiąt pięć procent roboty. Pozostałe dwadzieścia pięć ofiarują łaskawie naszym architektom, inżynierom i budowniczym, według ich bowiem zdania większą wartość i znaczenie ma technik, który ukończył studya na zachodzie, choć nie zna kraju, zwyczajów jego i obyczajów i stosunków.

Wyobrażam sobie, jak malowniczo wyglądałaby wieś polska, odbudowana według planów jakiegoś pana z dalekiego zachodu. Byłaby może zaopatrzona w proste ulice, domy byłyby zapewne bardziej stylowe, niż dotychczasowe kryte strzechą chaty, malowniczość przecież i poezya wsi polskiej zginęłaby z horyzontu raz na zawsze.

Nasi architekci pracują już nad tem, na studya przygotowawcze wydano już moc pieniędzy, radzono też zawzięcie, jaki styl ma mieć pierwszeństwo, choć ja powiadam, niechaj sobie będzie styl, jaki mu się podoba, byle było z czego i gdzie budować i człowiek raz już miał gwarancyę, że mu tego nie zniszczą.

Boć, kto wie, jakie jeszcze tajemnice kryje w sobie przyszłość? Dwa lata wojny już dzięki Bogu minęły, przetrwaliśmy szczęśliwie te straszne czasy, ale co będzie dalej?... Jak to jeszcze długo potrwa?... Wszak w chwili wybuchu wojny twierdzili najwięksi strategicy, statyści (ale nie teatralni!) i znawcy polityki, że za sześć miesięcy najdalej musi być koniec, gdyż dłużej nikt nie wytrzyma. Do tego nie wiedziano o grubych Bertach, takichże „wujkach", zapoznawano wartość bojową aeroplanów, Zeppelinów, łodzi podwodnych, nie miano pojęcia, jakie znaczenie mają ataki gazowe, miotanie ognia i t. p., a przecież, mimo to wszystko, wojna, z powodów od Redakcyi niezależnych, trwa już pełne dwa lata!

W tej wielkiej grze światowej mają podobno teraz być wygrane ostatnie najważniejsze atuty, które będą owem ziarnkiem piasku, zapowiadanem przez panią de Thébes, iż ono zmusi do milczenia armaty i karabiny. No i kto wobec tego wie, czy nie spełni się przepowiednia owego wszystkowiedzącego galicyjskiego żydka, twierdzącego z uporem, że wojna musi się skończyć i to w tym żydowskim miesiącu, którvby się zaczynał we wtorek. A takim jest dopiero *Thebet*, którego pierwszy dzień schodzi się z naszym dwudziestym szóstym grudnia (wtorek). — Taki był już *Nizam* (4 kwietnia), ale wówczas o końcu wojny i pokoju ani mowy nie było.

Według rzymskiego kalendarza miesiącami takimi są luty (już minął) i sierpień, który się właśnie rozpoczyna. Ponieważ wojna w swoim czasie zaczęła się właśnie w sierpniu, byłoby też słusznem, by się też i w sierpniu skończyła, a tegoroczny uważam za najwłaściwszy, gdyż do przyszłego roku czekać mi już zbyt długo, nawet do lutego.

Czekam więc, który kalendarz zwycięży, rzymski, czy żydowski, a tymczasem, czyniąc zadość żądaniu jednej z pań poczmistrzyń z Galicyi, prostuję niniejszem wzmiankę, jaką uczyniłem w numerze trzydziestym *Nowości illustrowanych* z dnia 22 lipca b. r., czem uczuła się obrażoną.

Napisałem tam mniej więcej tyle, iż w niejednej zapadłej Pipidówce dzieją się brzydkie bardzo rzeczy, gazety bowiem nie dochodzą tam wcale, albo dochodzą z kilkunastodniowem opóźnieniem, a doręczane bywają dopiero po przeczytaniu ich dokładnem przez panią poczmistrzynię i całą jej rodzinę...

Przedewszystkiem zastrzegam się przeciw temu, jakobym miał specyalnie, używając wyrażenia „pocztmistrzyni". na myśli tylko urzędy, które zostają pod zarządem pań pocztmistrzyń choć w owym wypadku należało się wysłowić „i pocztmistrzowa"... Przyznaję, że jest w Galicyi, na Śląsku, Bukowinie i t. d. bardzo wiele urzędów, wzorowo prowadzonych, skąd, jak rok długi, nie otrzymujemy ani jednej reklamacyi, nie brak jednak i takich, z których ciągle nadchodzą od prenumeratorów skargi, nieraz opierające się aż o Dyrekcyę poczt, iż otrzymują numery pisma spóźnione i w stanie bardzo opłakanym. Z jaką zaś skrupulatnością odbywa się ekspedycya *Nowości*, mogą poświadczyć wyższe organa pocztowe, które ją kilkakrotnie kontrolowały i uznanie swe wyraziły. Ale to nic nie pomogło, reklamacyjna biblioteka zwiększała się z dnia na dzień i stale się zwiększa i to nie tylko „z zapadłych Pipidówek", ale i z bardzo wielkich. Dopiero przed trzema, czy czterema dniami narzekał przedemną pewien pan, mieszkający w mieście (nie powiem jednak które!), iż *Nowości* albo nie otrzymuje wcale, a jeśli otrzyma, to spóźnione, z poprzecinanemi już kartkami, nierzadko też poplamione i t. d. Ktoś więc już je oglądał w międzyczasie od chwili nadania na pocztę do chwili doręczenia. Ale kto, gdzie i kiedy, tego trudno dojść, a trudno też każdą taką sprawą kłopotać głowę Dyrekcyi, mającej dość do czynienia. Kliniemy więc po cichu i sprawę pchamy do kosza, czasem przecież braknie cierpliwości, jak to było w tym wypadku, za który cierpię. Co zaś najgorsze, obrażają się o to osoby, które najmniej mają do tego powodu.

Jednem słowem, zbłądziłem, używając wyrażenia „pocztmistrzynie", zamiast „funkcyonaryusze pocztowi i ich rodziny", za co ogół pań pocztmistrzyń na ręce obrażonej pani B. w K. niniejszem z całą gotowością przepraszam, zaznaczając. że z miejsca jej urzędowania, o ile wiem, żadnych dotąd reklamacyi nie mieliśmy, z innych natomiast dosyć... Sądzę, że tyle wystarczy, aby między nami zapanowała znowu zgoda. Chyba pani, jako kobieta, nie zechce mnie wpakować do kryminału, gdzie zginąłbym marnie, zdala od mej Weronisi, która też nie przeniosłaby takiej bolesnej straty, ale razem ze mną powędrowałaby tam, gdzie sprostowania nie mają znaczenia, gdzie niema poczt, redakcyi i t. d. Zapewniam zaś, że po śmierci obydwoje straszylibyśmy prześladowców!

Zagadki do nagrody.

Szarada.
Ułożył S K Gerzaldi, Kraków.

Pierwsza-druga nam wskazuje,
Że pan kupiec coś rachuje,
Pierwsza-czwarta kwitnie w lecie,
Duże drzewo, a zaś *trzecie-*
Czwarte w większej mierze
Gotuj sobie na wieczerzę
Drugą zwykle się pytamy,
Do niej *pierwszą* gdy dodamy,
Będzie spójnik, który znaczy,
Że coś mówić chcę inaczej
Całość człowiek zbyt oszczędny,
Zwykle stary, przykry, zrzędny.

Trójkąt magiczny.
Ułożył St Danecki, Przeworsk.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko pierwszego polskiego mesyanisty.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Jedno z zagadnień społecznych 3. Pseudonim i właściwe nazwisko polskiego powieściopisarza 4 Siła dynamiczna. 5. Imię i nazwisko autora polskiego hymnu narodowego 6. Rycerz polski. 7 Dwa miasta w Anglii. 8 Kierunek pewnej sekty religijnej. 9 Niemiecka epopeja 10. Góry w Azyi. 11 Pospolity minerał. 12. Siarczak rtęci 13 Rzymski liryk. 14 Rzeka na Węgrzech. 15. Drzewo. 16. Pisarz francuski 17 Przyimek. 18. Samogłoska

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bury pies i Azor zważą i nowy żnr.

Okienko.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

a	ą	ą	d	d	d	d
d			d			g
g			i			i
l	l	n	n	n	n	o
o			o			o
p			r			u
n	u	u	w	w	z	z

Znaczenie wyrazów: 1 Angielska potrawa 2 Wyraz, używany w gimnastyce. 3. Rodzaj łodzi.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Jem kajak, me ceratki, u starej warystki.

Łamigłówka literacka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Znaleźć tytuły dzieł niżej wymienionych autorów. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego poety

Strug?
Krzyżanowski?
Żeromski?
Przybyszewski?
Żuławski?
Żuławski?
Żeromski?
Żeromski?
Żuławski?
Zola?
Zapolska?
Zapolska?
Żeromski?
Zapolska?
Zapolska?
Lam?
Żeromski?
Żuławski?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Gdy szczenię chce jeść, to mieszaj kieł w kurz, a zeżre.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

A^ICET MARCIN SAWADT

NIKAZY ARSEN AKLL

JERZY MODEST J. SPICALSKI.

APOLINARY TEODOR W DE DZIK

SEWERYN T. DE PUTULEI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 30.

Łamigłówka historyczna: Emilia Plater.

Zadanie do przestawienia: We złości to i język nie pości.

Grzebieniówka:

M	e	n	d	e	l	s	s	o	h	n
i		i		l		ł		d		n
l		e		ż		o		y		n
i		ś		b		w		s		c
o		w		i		a		e		y
n		i		e		c		n		u
e		e		t		k		s		s
r		ż		a		i		z		z

Zadanie na rozsypane litery: Kiedyś grzyb, leź w kosz.

Trójkąt magiczny:

F i l i p k i e w i c z
I c h t y o l o g i a
L a f o n t a i n e
I n f l u e n z a
P ł a s t u g a
K r z y ż a k
I m b r y k
E p o d a
W i z o
I w a
C z
Z

Zadanie do przestawienia: Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek.

Łamigłówka wojenna: Juliusz Andrassy.

Zadanie do przestawienia: Jak kto do las nawoła, tak mu echo odpowie.

Bilety wizytowe: Protomedyk. Kooperator. Lekarz zdrojowy Technik budowlany. Protomedyk namiestnictwa.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów. S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń, L Kozubski Wiedeń, H. Starzewska Tarnów, E Horowitz Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. J. **Kwaśniewski, Krzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Rozwiązany problem.

Pytanie: Jak można ślepemu świecić po ciemnych schodach?

Odpowiedź: Wkłada się do latarni kilka kwargli, a ślepy pójdzie za zapachem.

Protest.

A.: Mam przyjaciela, który jest łudząco do pana podobny.

B. (dorobkiewicz): Tak? Może on też ma trzy mil ony w majątku?...

W kasynie wojskowem.

Jenerał: Panie kapitanie, nie poprosiłbyś pan swej żony, aby nam coś zaśpiewała?

Kapitan: Do usług, ekscellencyo, ale niech ekscellencya rozkaże, kiedy ma przestać, bo inaczej moja żona będzie śpiewać do jutra rana.

Szczyt roztargnienia.

Pewien profesor zastaje w swojem mieszkaniu włamywacza. Zgniewany, postanowił go oddać w ręce policyi. Gdy już uszli spory kawałek drogi, rzecze włamywacz:

— Bardzo żałuję, panie profesorze, ale muszę już iść do domu...

Profesor (zamyślony): No, to bądź pan zdrów, ale proszę mnie znowu kiedy odwiedzić...

U jubilera.

— Proszę mi zrobić duplikat tego mojego pierścionka ślubnego.

— Tak? A to po co, jeśli wolno wiedzieć...

— Widzi pan, w porze letniej tak łatwo go można zgubić — z kieszonki kamizelki...

W restauracyi.

Dama (do kelnera): Czy nie był tu przypadkiem mój mąż?

Kelner: A jak godność pana dobrodzieja?

Dama: Golicki, artysta dramatyczny.

Kelner: Owszem, był! — Tak jest, był przed chwilą — zapłacił i poszedł.

Dama: Zapłacił i poszedł? E, to pan go nie znasz! To nie on!

I to racya.

— Dlaczego tak rzadko można gdzie spotkać panią radczynię?

— Ona musi pilnować swego męża.

— A cóż, to radca chory?

— Ależ skąd! Gdyby był chory, toby go pilnować nie potrzebowała.

Złośliwa krytyka.

— Ależ pan wczoraj grał wspaniale Otella, panie dyrektorze! Tak czarnego murzyna nie widziałem nawet w czasie mej podróży po Afryce!...

Właściciele i wydawcy Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego